

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

kamena



NR 10 (777)

8-21 maja 1983

CENA 10 ZŁ

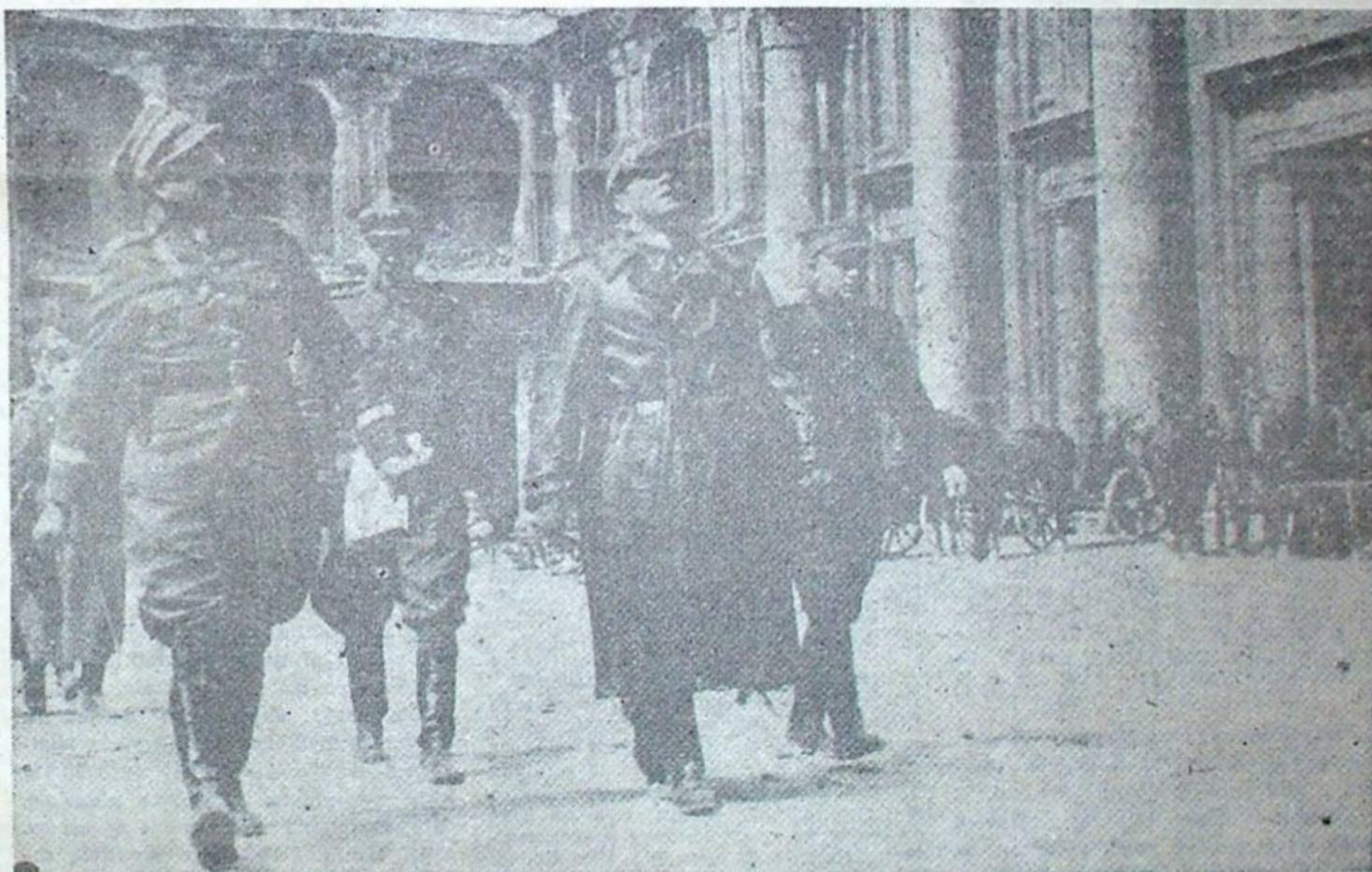
Z perspektywy 38 lat

ZWYCIĘSTWO 1945

Zygmunt Mańkowski

ŚWIĘCIMY w kraju kolejną rocznicę zwycięstwa nad faszyzmem, odniesionego w 1945 roku. Jednakże z roku na rok II wojna światowa wydaje się oddalać od nas, powoli przechodzić do lamusa historii, stając się historyczną skamieniałą. Pamięć o niej poczynają przytłaczać nowe wojny lub upowszechniający się strach przed nową. Od II wojny światowej na świecie stoczono już wiele nowych wojen. Ich liczba grubo przekroczyła setkę (ściśle — nawet 135). Większość z nich to wprawdzie wojny lokalne, niektóre krótkotrwałe, ale przecież na przykład w wojnie wietnamskiej zrzucono więcej bomb niż w całej II wojnie światowej...

Mimo wszystko ludzkość o II wojnie światowej faktycznie pamięta, choć dziś nieco inaczej niż wczoraj i nie wszyscy w równym stopniu. Była to przecież wojna najbardziej krwawa, w której zginęło ponad 50 milionów ludzi (pamiętajmy: w dużej części nie na skutek bezpośrednich działań wojennych czy głodu lub epidemii, lecz w rezultacie ludobójstwa, eksterminacji itp.); wzięło w niej udział 61 państw (spośród 67 wówczas istniejących w ogóle); w orbitę wojny dostało się około 1700 mln osób (stanowiło to 80 proc. ogółu mieszkańców globu); pod broń powołano około 100 mln żołnierzy; rany lub okaleczenia odniosło 35 mln ludzi; bezpośrednie wydatki na wojnę wyniosły 1.154 mld dolarów...



Dowództwo Wojska Polskiego w Berlinie. Maj 1945.

Foto Archiwum

Dokończenie na str. 9

Polubić firmy polonijne?

Waldemar Piasecki

W 1976 roku zrodziła się myśl powiązania Polonusów z Macierzą więzami innymi niż uczuciowe: więzami interesów. Pomysł ten, jak wiele z tamtych czasów, otrzymał odpowiednią oprawę propagandową. Jednocześnie realia były takie, że polonijni biznesmeni nie mogli za bardzo sobie u nas „poszaleć”. Dotyczyło to zarówno realiów prawnych, jak i rynkowych (pamiętamy bowiem, że na naszym rynku w tamtym czasie można było jeszcze coś kupić).

W styczniu 1977 roku niemal równocześnie wystartowały trzy pierwsze przedsiębiorstwa polonijno-zagraniczne (bo taką oficjalnie nazwę przyjęto): „Top-Mart”, „Konsumpod” i „Dekor”. Wydarzeniu temu również nadano stosowną rangę. Potem sprawa przygasała, a precyzyjnie — zainteresowanie zagranicą nie było tak duże, jak się spodziewano. Do końca 1981 roku zezwolenia wydano 144 firmom. War-

tość sprzedanej przez nie produkcji wyniosła zaledwie 3,1 mld złotych, a eksport osiągnął wielkość 2 mln dolarów.

Przełomową dla polonijnego biznesu okazała się data 6 lipca 1982 roku, kiedy to weszła w życie ustawa o zasadach prowadzenia na terytorium PRL działalności gospodarczej w zakresie drobnej wytwórczości przez zagraniczne osoby prawne i fizyczne. Uchwalenie tego dokumentu poprzedziły rozmowy z przedstawicielami interesu po-

lonijnego, którzy wnieśli szereg uwag do dotychczasowej praktyki prawnej i administracyjnej. Generalnie rzecz biorąc, uwagi dotyczyły małej stabilności przepisów i polityki państwa wobec firm, co raczej nie stwarzało poczucia bezpieczeństwa chcącym inwestować u nas dewizy i rozkręcać działalność gospodarczą. Uchwała wydawała się przelamywać lody, bowiem na 31 grudnia 1982 roku zarejestrowano 374 firmy. Na koniec marca br. było ich już 412. Słowem, w ubiegłym roku

powstało (gros — po uchwaleniu ustawy przez Sejm) 230 przedsiębiorstw polonijno-zagranicznych, czyli o 86 więcej niż przez poprzednich pięć lat. Dalszych 370 wniosków zostało złożonych i jest rozpatrywanych. Fakt ów nie wymaga komentarza.

Wraz ze wzrostem liczby firm nastąpił pokaźny wzrost wartości ich produkcji; nawet uwzględniając ruch cen w 1982 roku Dały one w ubiegłym ro-

Dokończenie na str. 8-9

z notatnika

26 IV. Pisała Anna Bocian w „Kamieniu” o zalewie makulatury. Nawoływano (o sprzedaż) przez lata i efektów prawie nie było. Kiedy makulatura stała się czymś w rodzaju waluty wymiennalnej, to znaczy, że po jej sprzedaży można było dostać różnego rodzaju rarytasy, jak np. papier toaletowy, nastąpiło gwałtowne ożywienie koniunktury. Teraz możemy sprzedawać nawet makulaturę za dewizy, cały szkopuł polega jednak na tym, że trzeba jej całe tony i nie wiadomo, czy oplaci się (transport!) skórka za wyprawę (nawet do Jugosławii).

Podobnie przedstawia się sprawa z butelkami, z tym, że za nie nie się w zamian nie dostanie. Cena butelek została jednak skalkulowana w miarę wysoko, tak wysoko, że zakłady kupują nowe szkło w hutach... taniej. Ponieważ żaden zakład o butelki się nie bije, a sklepy mają obowiązek skupować wszystko jak leci, sytuacja jest taka, że w takim np. „Jubilacie” magazyny są zawałone szkłem, które wypiera wszelkie inne dobra. Nie wiadomo w końcu, czy tabakiera jest dla nosa, czy nos dla tabakiera...

A swoją drogą warto się zastanowić w skali „globalnej”, co począć z problemem butelkowym? Biorąc w obronę kierowników sklepów spożywczych i sprzedawców, którzy i tak mają gigantyczne problemy z wyklejaniem kartek Zachęcam dyrektora (zarząd?) LSS-u, by znalazło jakieś pionierskie rozwiązanie tego gordyjskiego węzła!

28 IV. Dowiedziałem się z prasy, że zmarł Jan Szczawiej, poeta, działacz ludowy, dawny uczeń mojego Ojca. Z Janem widziałem się ostatnio kilkanaście lat temu w Chełmie w czasie jakichś uroczystości kulturalnych. Osobiście za największe osiągnięcie jego życia uważam obszerną, dwutomową antologię „Poezja Polski Walczącej”, wydaną przez PIW w 1974 roku. Są w niej i okupacyjne wiersze Ojca. Jan zajmował się również twórczością ludową. Odszedł niedługo po śmierci Romana Rosiaka, który też specjalizował się w tym kierunku. Twórcy ludowi stracili dwóch wielkich przyjaciół! I na pewno będzie ich bardzo brakowało...

29 IV. Zasugerowałem kiedyś Ryśkowi Liskowackiemu, redaktorowi naczelnemu „Morza i Ziemi”, że warto by się zająć osobą Mariana Kielca, niegdyś znakomitego zawodnika szczecińskiej „Pogoni”. I widzę, że Rysiek skorzystał z mojej rady; w kolejnym numerze „Morza i Ziemi” pierwszy odciłek wspomnień tego piłkarza. Jednocześnie reporterka pisma, Krystyna Pohl, zainteresowała się szczecińskim epizodem Kalibabki, pochodzącego z Dziwnowa. Myślę, że tekst przedrukuje „Przegląd Tygodniowy” — ostatecznie to bohater tego tygodnika!

Zarty żartami, ale „Morze i Ziemia” rozwija się coraz lepiej. Papier, niestety, taki sam, jaki ma „Kamena”...

Natomiast daleko lepszym papierem może się pochwalić nowy tygodnik, ukazujący się w Katowicach, pt.

„Tak i nie”. Zastąpił (?) on „Poglądy”, które uległy likwidacji. Tytuł nie bardzo przypadł mi do gustu. Z tej przychodzą, że istnieje przecież tygodnik pt. „Za i przeciw”. Porównajmy: „Tak i nie” — „Za i przeciw”. Niemniej sama winieta tytułowa jest estetyczna i dająca duże możliwości przy graficznym opracowywaniu pierwszej strony.

„Tak i nie” zapowiada się interesująco, w pierwszym numerze aż kilka tekstów „wystrzałowych”, wśród nich o Nardellim pt. „Szaman czy... cudotwórca”. Zdjęcia wyszły znakomicie. Co to znaczy: dobry papier! Zazdrościć trzeba i przy okazji zapytać, jak to się dzieje, że Katowice TAK, a Lublin i Szczecin — NIE? Do kogo (w Warszawie?) trzeba się uśmiechnąć?

Redaktorem naczelnym nowego tygodnika został Kazimierz Zarzycki. W stopce znalazłem nazwisko Feliksa Netza, b. redaktora naczelnego „Panoramy”. Są i inni znajomi, jak np. Tadeusz Kijonka. Po znajomości więc reklamuję w notatniku to pismo. Oczywiście na TAK!

30 IV. W „Przekroju” list Szymona Kobylńskiego, który — podobnie jak poprzednio Romuald Karaś w „Przeglądzie Tygodniowym” — krytykuje Józefa Waczkowa Waczkow zadał sobie trud przetłumaczenia „Szwajka”, mimo że przed laty dokonał tego Hulka-Laskowski i kilka już polskich pokoleń dzięki niemu poznaje to znakomite dzieło. Waczkow usiłuje... ulepszyć tekst. Moim zdaniem po prostu szkoda czasu samego Waczkowa, ale ostatecznie to jego sprawa. Niemniej Kobylński pisze: „Majaczenia o rzekomej poprawności, jeśli im nie towarzyszy tzw. iskra boża i zwykły słuch literacki, pozostają majaczeniem pedanta, a nie twórcy. Już takich biurokratów pióra wyszydzało, kiedy (— bodajże Tuwim? —) śmiano się, iż na prawdę poprawnie należałoby napisać: „Ogary pobiegły do lasu”, gdyż spieczyło się, więc nie szły, a ponadto prawdziwsza jest forma „do lasu” niż „w las”. Dlaczego więc Żeromski miał rację?!”

Mamy nowy temat do dyskusji. Cieszy to prawie tak samo jak wiadomość w „Kurierze”, iż wybieramy w Lublinie „Miss Lubelszczyzny i Bieszczad”, która z kolei będzie kandydować na „Miss Polonia”, ta zaś itd. Miss będzie nowa, ale stare wraca. Przed ćwierćwieczem, bodaj w 1957 roku, przyglądałem się, jak w kinie „Apollo” (czy już „Wyzwoleniu?”) wybrano Miss Lublina. To był dopiero ubaw! A swoją drogą „Kurier” mógłby wrócić do tego konkursu i wy badać, jak potoczyły się losy ówczesnej „misski” i jej kontrkandydatek. Proszę o premię za pomysł!

Tymczasem w „Życiu Literackim” Ryszard Niemiec powraca do meczu piłkarskiego Polska—Finlandia. „Niespodzianką większego kalibru — pisze on — było dla racjonalnie myślących sympatyków futbolu wezwanie Bońka do gry przeciw Finom. Gra on jako zawodowiec w najbardziej profesjonalnej drużynie świata. [...] Dla Bońka, wolnego najmiły pana Angellego, nie

ma poważniejszego celu, niż ten, z którego go rozlicza pracodawca i chlebodawca w jednej osobie. Celem tym jest zwycięstwo w Atenach i basta. [...] Wielka tragedia naszej reprezentacji polega na swoistym idealizmie jej kierownictwa, wierzącego w słowne fetysze takie jak godność reprezentanta, barwy, Biały Orzeł, którymi operują przy wielu okazjach nasi internacjonalowicze grający na obczyznach...”

R. Niemiec pisze wprost: „[Boniek] kosztował milion dolarów, ale zdrowy, wypoczęty i w formie. [...] Gdyby go, uchwaj Boże, skosili surowi także w technice gry Finowie — zespół mistrza Włoch stanąłby naprzeciw Włochom z małymi szansami awansu na finał. Kto uważnie obserwował oba pojedynki tych zespołów, przyzna mi rację: bez polskiego napastnika Włochi by łodzian nie przeszli...”

Zielono mi... Od 50-złotówek!

1 V. Niedawno otrzymałem list od jednego z wychowanków Ojca, Wiktora Bazylewskiego. W zasadzie prywatnych listów nie powinno się publicznie cytować, ale myślę, że w danym wypadku Wiktor nie weźmie mi tego za złe. Otóż pisze on tak: „Twój Ojciec znajdował się wśród tych nauczycieli, którzy pierwsi stosowali w nauczaniu metodę opartą na samodzielnym myśleniu uczniów. Koło literackie było skutecznym przykładem wdrażania tej metody. Inne podobne organizacje młodzieżowe powstały potem i zapoczątkowały szeroko rozbudowany samorząd szkolny w Chełmie. Była to piękna szkoła wychowania obywatelskiego. Twój Ojciec przeprowadzał swoje poczynania dyskretnie, bardzo taktownie i bez jakichkolwiek manifestacji. Manifestacje urządził tylko raz w roku: 1 Maja. Przychodził wówczas do klasy z czerwoną chusteczką w butonierce i w krawacie z czerwonym deseniem. Te barwy robiły na nas wielkie wrażenie...”

Chciałbym w tym miejscu dodać, że mała czerwona flaga z błyszczącego papieru wisiała również 1 Maja na honorowym miejscu w domu...

Przypomniałem sobie te szczenięca lata dzisiaj w pochodzie pierwszomajowym.

Znow manifestacja odbywała się na Placu Zebrań Ludowych. Po przemówieniu generała Wojciecha Jaruzelskiego, przekazany przez radio, zabrał głos I sekretarz KW PZPR w Lublinie, profesor Wiesław Skrzydło — było to jego pierwsze tego typu wystąpienie. Później — występ zespołów artystycznych.

Nie bardzo mogę się przyzwyczaić do tej formy obchodu 1-majowego święta, wolę tradycyjne pochody przez Krakowskie Przedmieście. Sądzę, że do nich wrócimy...

W tegorocznej manifestacji 1-majowej wzięło udział więcej osób niż przed rokiem. Nie tylko w Lublinie, ale i w całym kraju. Radio mówi o siedmiu milionach Polaków. Dodajmy, że tegoroczne święto 1-majowe wypadło w niedzielę, piękną, słoneczną niedzielę, zachęcającą do wycieczek i spacerów. Poza tym poprzedzającą niedzielę sobota była dniem pracy...

Niestety, nie obyło się bez incydentów, prób zakłócenia uroczystych pochodów. Dla mnie najsmutniejsze są „kontrmanifestacje” we Wrocławiu, Szczecinie i Gdańsku, miastach, które w wyniku rozgromienia faszyzmu powróciły do Macierzy. I nie chodzi mi o to, że liczba „kontrmanifestantów” była w sumie znikoma (choć za to bardzo krzykliwa). I nie chodzi mi o to, że zachodni korespondenci skwapliwie towarzyszyli tym „kontrmanifestacjom”; gdybym był korespondentem polskim na Zachodzie, też bym pisał o ostatnich starciach policji francuskiej ze studentami czy rolnikami albo o marszach wielkanocnych w RFN... Zastanawia mnie jednak brak poczucia realizmu u niektórych moich rodaków, kiepska znajomość dziejów ojczyźnych, zamykanie oczu na to, co bądź co bądź, zmieniło się u nas na lepsze od 13 grudnia 1981 roku...

Słyszałem, że pogrzeb Jerzego Andrzejewskiego też wykorzystano w celach politycznych. Dobry jest cmentarz, ulica a niekiedy i kościół... Dobry jest każde miejsce, w którym można zamoczyć, podnieść temperaturę, zatrącić atmosferę.

Są siły na świecie, zupełnie nam obce, które chciałyby, by polski wulkan nie wygasł. I nie obchodzi ich to, że lawa, rozlewając się mniej czy bardziej, przynosi określone szkody. Nam, Polakom, bo nie im przecież...

Wicepremier Mieczysław Rakowski mówił na jednym ze swych ostatnich spotkań o tym, że aż dziw, iż w Polsce nie odczuwa się strachu przed wojną. Rozumiem, że mamy wiele wewnętrznych spraw, związanych z kryzysem gospodarczym, które nas absorbują. Wśród starszego pokolenia pokutuje jeszcze niezbyt mądre hasło z lat pięćdziesiątych: „W odpowiedzi na atomy budujemy nowe domy”. W odpowiedzi na atomy trzeba budować coś zupełnie innego, aby te własne domy obronić, aby przeciwnik wiedział, że i on nie może się czuć bezpieczny. Oczywiście to też kosztuje, kosztuje sporo, ale proszę wymyślić coś lepszego! Jakże naiwny jest pogląd co niektórych moich rodaków, nawet takich, których znam z imienia i nazwiska, że „w razie czego” damy sobie jakoś radę, bo Amerykanie są naszymi przyjaciółmi i Polskę oszczędzą. Cały świat będzie atomową pustynią, a Polska, „Chrystus narodów”, pozostanie życiodajną eszą.

Baju, baju będziecie w raju...

I jeszcze dwa znamienne cytaty: „Potencjał zagłady posiadany przez mocarstwa jądrowe zagraża dziś suwerenności Boga nad światem, który On stworzył. Możemy zniszczyć Jego dzieło”. (Z projektu listu pasterskiego biskupów amerykańskich w sprawie zbrojeń i wojny).

„Bóg, armaty i duch walki”. (Popularna w stanach Oklahoma i Teksas nalepka na samochody).

Marek Adam Jaworski

KRONIKA

W poł. XVI w. król Zygmunt Stary dał Piotrowi Firlejowi przywilej na założenie miasta Lewartowa i w pewnym sensie dzięki temu dzisiaj Lubartów obchodzić będzie 440-lecie istnienia, do którego przygotowuje się z wyjątkowym rozmachem: porządkując place, ulice, park, cmentarz żydowski (swego czasu mieszkało tu wielu Żydów) i remontując pomnik Poległym Ziemi Lubartowskiej (odsłonięty zresztą niedawno, kilka lat temu). Przygotowuje się liczne imprezy, myśli o nakręceniu filmu dokumentalnego o tym mieście, które właśnie w latach siedemdziesiątych wyplekniło szczególnie.

Wielkim zainteresowaniem cieszy się konkurs na projekt Świątyni Pokoju, która stanie na Majdanku. Organizatorzy spodziewają się, że do 16 maja br. (termin nadsyłania prac) wpłynię ok. 150 projektów. Rozstrzygnięcie konkursu nastąpi 13 czerwca.

Zakończyła się akcja „Posesja”, mająca na celu sprawdzenie porządku w obejściach, domach, placówkach handlowych i usługowych, w wielu innych zakładach pracy. Rezultaty statystyczne: 416 wniosków do kolegium, ponad dwa tysiące mandatów, około dwóch tysięcy upomnień egzekucyjnych, zamknięcie piekarni w Piaskach, likwidacja 10 bimbrowni (czterech w Lublinie) itp. W tych dniach powtórnie przystąpiono do kontroli.

Po 25 latach przerwy znów ogłoszono konkurs na „Miss Polonia”. Finał w stolicy (a jakże!) poprzedzą eliminacje regionalne, m.in. w Lublinie, który wybierze „Miss Lubelszczyzny i Bieszczad”. Proponujemy, by im-

prezy tego rodzaju odbywały się przynajmniej raz na kwartał, z udziałem władz w jury. Wygląd kandydatek mógłby bowiem dostarczać danych o tempie wychodzenia z kryzysu.

Z melioracją zawsze były kłopoty, więc i są nadal. Obliczono, że do zakończenia koniecznych robót w woj. lubelskim potrzeba 40 lat, jeśli odbywać się one będą w dotychczasowym zakresie i tempie.

Jakie jest lubelskie „okienko” w Telewizyjnym Kurierze Województwa, każdy widzi, kto ogląda. Niektórzy też słyszą, jak redaktor mówi w magazynie „Z Polski rodem” (23 kwietnia): „dotychczas współpracy na niwie kształcenia”. Owszem, można i tak. Ale po co?

W klubie „Nora pod strzechą”, jak zwą przybytek bywalczy, otwarto wystawę malarstwa Jana Popka, natomiast w Muzeum Okręgowym — wystawę medalii i monet Stanisławy Wątróbskiej-Frindl, plastyczki z Man-

nicy Państwowej w Warszawie.

Wystawy, koncerty wokalne i muzyki kameralnej, spotkania z pracownikami wyższych uczelni — oto imprezy wypełniające obfity i atrakcyjny program tegorocznych „Spotkań z NRD”, rozpoczętych w Lublinie 25 kwietnia. Ośrodek Kultury i Informacji NRD w Warszawie od lat upowszechnia w naszym mieście kulturę, naukę i te wartości, które składają się na rodowód ideowy naszych sąsiadów zza Odry. W ramach „Spotkań” przygotowano np. ekspozycję „Karl Marks — życie i dzieło” (czynna na Zamku).

Przy końcu kwietnia w Filharmonii Lubelskiej ładnie wykonano koncert oratoryjny, prezentujący części I i II „Pór roku” Haydna. Orkiestra Symfoniczna PFL, Chór IWA UMCS i Państw. Szkoły Muzycznej im. T. Szeligowskiego, soliści.

Odgłosy

— W projekcie deklaracji PRON w rozdziale zatytułowanym „Działanie na rzecz moralnego i obywatelskiego odrodzenia narodu” czytamy: „Zwracamy się do twórców kultury i ludzi nauki oraz tych, którzy poświęcili się rozwojowi i upowszechnianiu tych dziedzin: niech traktuje nasz ruch jako sojusznika, który pragnie dopomóc w ich wysiłkach”. Otóż jest to sformułowanie zbyt ogólne, zawężone do jeszcze jednego apelu do ludzi dobrej woli.

— Za tym sformulowaniem kryje się głęboka treść. Ludzie, o których tu mowa, są tymi, którzy mogą nam pomóc. Właściwie cała działalność PRON jest niemal niemożliwa bez pomocy ludzi kultury, twórców kultury. Dlaczego? Dlatego, że przekazują oni poprzez słowo, barwę, dźwięk najważniejsze wartości ludzkie, dlatego, że są oni tymi, których ludzie słuchają, wreszcie, co jest najważniejsze, dlatego, iż twórczość w swojej istocie jest odwołaniem się do najszlachetniejszych ludzkich wartości, do tych czynników, które przygotowują człowieka do wielkich zadań życiowych i obywatelskich, które tworzą bohaterów i tych dzwigających na swoich barkach losy narodu i państwa.

Oczywiście zdają sobie sprawę z faktu, że nie zawsze twórczość szła tym nurtem, że nie zawsze u nas ta rzecz była jasno postawiona. Właśnie minęła piąta rocznica śmierci Zbigniewa Żaluskiego. I kiedy myśląc o tym sięgnąłem do niezapomnianej dla mnie jego książki „Siedem polskich grzechów głównych”, przypomniała mi się żalona epoka, kiedy to w naszej literaturze pojawiły się odgłosy będące podważaniem wielkich zadań, które były i są w twórczości artystycznej.

Powiedzmy sobie wyraźnie: odrodzenie, a jest ono wypisane jako główne słowo naszego ruchu, opiera się na odwołaniu się do najgłębszych ludzkich wartości. Tymi najgłębszymi wartościami ludzkimi dysponuje twórca. Może je obudzić, może pokazać, może przekazać. Dlatego wydaje mi się być słusznym, potrzebnym i koniecznym odwołanie się do twórców, by uczestniczyli w naszym ruchu, bo jedność, na którą czekamy, i porozumienie, którego szukamy, i które musi nastąpić, jeśli mamy żyć, jest nierozdzielnie związane z dążeniem do powrotu do wielkich ideałów, do wielkich haseł, które w tradycji narodowej Polski zawsze były, i które w momentach trudnych, w momentach klęski potrafiły przemienić tę klęskę w zwycięstwo, umiały podnieść nas z największego upadku.

— W deklaracji mówi się, że PRON jest ruchem otwartym. Otwartym na co?

— Jesteśmy otwarci w tym sensie, że nie przychodzimy z czymś gotowym, z receptą. Jeśli mi ktoś mówi, że my w PRON powinniśmy robić to lub tamto, to odpowiadam, że będziemy robić zawsze to, co będą robić ludzie, którzy do nas przyjdą. Jeśli nas zostawicie samych, to my nic nie zrobimy. I właśnie w tym sensie otwieramy się jak najszerzej: na ludzi, na problemy społeczne. Od samego początku nie chcieliśmy, aby PRON był z góry zdefiniowaną organizacją. Powiedzieliśmy, że będzie ruchem otwartym, takim, gdzie odbywa się nieustający dialog nie tylko PRON ze społeczeństwem, ale dialog wewnątrz PRON. Musimy najpierw porozumieć się w samym PRON co jest tymi imponderabiliami, do których się odwołujemy i dopiero wtedy możemy wyjść na zewnątrz i mówić do społeczeństwa. Dlatego czekamy na ludzi. Bo jeśli do nas ludzie nie będą przychodzić, wówczas ruch nasz nie stanie się autentyczny. I to musimy sobie powiedzieć.

— PRON chce być partnerem, to

także jeden z zapisów Deklaracji. Jednocześnie chce być otwarty. Czy nie sądzi pan, że te dwa stwierdzenia są trochę sprzeczne?

— Podtrzymuję sformułowanie zawarte w Deklaracji. Tak, jesteśmy otwarci, a jednocześnie partnerscy. Sądzę, że nie ma tu sprzeczności. Musimy przecież być otwarci na tych wszystkich, którzy do nas przyjdą, by w naszych szeregach działać dla dobra ogółu. I to jest nasza otwartość. Natomiast jesteśmy partnerscy, gdyż chcemy reprezentować opinię społeczną wobec władz państwowych i będziemy ją reprezentowali tym lepiej, im udział społeczeństwa w PRON będzie szerszy.

— W maju odbędzie się Kongres PRON, wydarzenie dla ruchu ogromne. Wielu ludzi wiąże z nim wielkie nadzieje, gdyż patriotyzm u Polaków zawsze posiadał cenę najwyższą. Natomiast mnie, jako pisarza, interesuje to wszystko, co dotyczy edukacji narodowej poprzez kulturę. Proszę zatem powiedzieć, czy na ogólnokrajowym forum PRON znajdzie się miejsce dla kultury?

— Ależ oczywiście! Ale w dużym stopniu będzie to zależeć od tego, co na nasz kongres zostanie przyniesione. Nie jest zadaniem Tym-

— Ale PRON ma autorytet!
— To prawda, zdobył sobie już pewien autorytet. Dlatego co tylko możemy, to staramy się dla kultury zrobić. Poprzez nasz zespół kulturalny prowadzimy dyskusje z wydawcami, z instytucjami kulturalnymi, z ludźmi odpowiedzialnymi za jej rozwój. Co prawda są to działania w sprawach drobnych, ale widzimy realne szanse szerszego naszego udziału w tym wszystkim, co mieści się w szeroko pojętym słowie: kultura.

— Ale mnie przeraża, kiedy dowiaduję się, że biblioteka zakładowa została zamieniona w stolówkę...

— Podziwiam pańską troskę i niepokój. Sądzę, że nadal pokutuje błędne rozumowanie zakładające, iż najpierw trzeba dać ludziom chleba, a dopiero potem książkę. Obie te rzeczy są potrzebne w równej mierze i jednocześnie. Jeśli nie zaczęliśmy od stworzenia w tym zakresie równowagi, to później nie odrobimy strat, jakie poniesiemy w dziedzinie kultury.

— A jak PRON ocenia udział pisarzy w tym ogólnonarodowym ruchu?

— Pisarzy cenimy i chcemy ich widzieć w naszym ruchu jak najwięcej. Już sam fakt, że PRON przewodniczy pisarz, jest dowodem powagi, z jaką nasz ruch traktuje

zacji. Ale ważne jest to, by w PRON istniał przewiew różnych tendencji, pragnień, entuzjazmu — a wówczas ochronimy nasz ruch przed skostnieniem. Przecież nie Tymczasowa Rada PRON ma baczyc na te niebezpieczeństwa, ale ci wszyscy, którzy w przyszłości znajdą się w PRON. My stwarzamy ramy, a zapalenie ich treścią będzie należało do każdego członka PRON. Mogę pana zapewnić, że zdajemy sobie sprawę z tego zagrożenia, ale już sam fakt tej świadomości gwarantuje, że możemy uniknąć tego niebezpieczeństwa.

— Powiedzieliśmy, że tak jak powołanie PRON było przywróceniem ludziom nadziei, tak zbliżający się Kongres ten nadziei będzie urzeczywistnieniem. Proszę powiedzieć, co zmieni się po Kongresie?

— Czy będą zmiany? Na pewno. Czy duże? Chyba nie, mogą pojawić się jakieś nowe akcenty, inne ulegną przygaszeniu. Ale zmian zasadniczych nie spodziewamy się. Jeśli coś się zmieni na pewno — to ludzie. Przyjdą nowi. I to właśnie będzie ten powiew, o którym mówiłem. PRON — jak ja go widzę — nie jest ruchem, który pozostanie w ramach stworzonych przez Deklarację. Będzie się rozrastał, będzie inspirował, wciągał ludzi dobrej woli, ludzi światłych. Po-

Chleb i książki są potrzebne w równej mierze

ROZMOWA Z PRZEWODNICZĄCYM TYMCZASOWEJ RADY PRON JANEM DOBRACZYŃSKIM

czasowej Rady przygotowaniem wszystkich w szczegółach i zademonstrowanie gotowych rozwiązań wobec przybyłych na Kongres. Chcemy, by ludzie, którzy znajdują się na Kongresie, przynieśli ze sobą nie rozwiązane dotąd problemy, by przedstawili swoje pomysły, zaproponowali kierunki przyszłych działań. Na tym polega jedna z cech PRON: nie gotowe recepty, ale dialog.

Owszem, jesteśmy gotowi do przedyskutowania problemów kultury i uważamy to za konieczne. Aby nie być gołosłownym, powiem że powołaliśmy już zespół do spraw kultury, który wprowadzić nie ma wielkich ambicji, gdyż nie chcemy, by powstało coś w rodzaju konkurencji wobec Narodowej Rady Kultury. Natomiast zespół ten załatwia wiele spraw praktycznych, spraw trudnych, a odnoszących się do szeroko pojętej działalności kulturalnej. Jednocześnie zdają sobie sprawę z faktu, że wiele problemów dotyczących kultury czeka dzisiaj na rozwiązanie, ale, jak powiedziałem, wszystko to musi być przyniesione na nasz Kongres. To nie może być głos organizatorów Kongresu, ale głos jego uczestników.

— Kultura nigdy nie miała łatwego życia. W każdym projekcie planu narodowego występowała na końcu jako coś wstydlivego, mało istotnego. Dziś placimy za to wysoką cenę. Wiele przedsięwzięć usiłuje się od kultury odseparować, tłumacząc się brakiem środków finansowych do jej prowadzenia...

— PRON nie posiada ani środków, ani możliwości doraźnej pomocy. Jedyne co możemy zrobić, to zainspirować na ten temat szeroką dyskusję...

pisarzy w nim uczestniczących. Przecież mamy cały szereg pisarzy nie tylko w Warszawie, ale i w wojewódzkich organizacjach pronowskich. I nadal czekamy na akces innych kolegów pisarzy.

— A czy władze Tymczasowej Rady widzą jakąś szczególną obecność pisarzy w PRON? Myślę tu o wykorzystaniu ich autorytetu, jak mają w społeczeństwie.

— Mogę powiedzieć tylko tyle: już w początkach PRON, kiedy istnieli jedynie sygnatariusze, reprezentanci owych sześciu grup, które zainicjowały powstanie PRON, w czasie wszystkich dyskusji uważano, że udział pisarzy jest niezbędny. Wszyscy byli zgodni co do jednego: miejsce dla pisarzy jest w PRON. Dziś liczba ludzi pióra, w porównaniu do reprezentantów innych grup, jest stosunkowo duża. I jeszcze jedno chciałbym wyjaśnić: Tymczasowa Rada PRON jest po to, by przygotować Kongres, natomiast rady terenowe prowadzą działalność konkretną. To tam pisarze działają bezpośrednio na rzecz swoich środowisk.

— Obecnie PRON jest ruchem budzącym w społeczeństwie nadzieję. Ale znając nasze ciagoty do instytucjonalizowania absolutnie wszystkiego, mogą zrodzić się obawy, że oto przybywa nam jeszcze jedna fasadowa organizacja. Po prostu stanie się w przyszłości kolejną placówką administracyjną z biurkami, przesami, sekretarkami itp.

— PRON będzie taki, jacy ludzie do niego przyjdą. Oczywiście to, o czym pan mówi, byłoby dla ruchu wielkim niebezpieczeństwem. Nie ma cudownej recepty, która na pewno i na zawsze uchroni PRON od zbiurokratyzowania. Takie niebezpieczeństwo zagraża każdej organi-

wtórze raz jeszcze: będzie otwarty nie tylko na nowych ludzi, ale i na pojawiające się ciągle nowe problemy. W tym upatruję jego siłę. Bo PRON musi reagować na życie. Gdyby się tak złożyło — zakładam niemożliwe możliwym — że na Kongresie doszlibyśmy do wniosku, że już wszystko zrobiliśmy, wówczas PRON straciłby rację bytu. A tak nie jest. PRON jest i pozostanie otwarty na nowe problemy, ba, nawet może na nowe konflikty.

— Wyraziłem obawę, że PRON może stać się fasadową budową, instytucją w najgorszym tego słowa znaczeniu. Odpowiedział pan, że będzie to zależeć od ludzi, którzy zasilą ten ruch. Teraz jawi mi się inna refleksja, a mianowicie, czy PRON nie stanie się dla pewnych osób kolejnym szczeblem do kariery?

— Tego nie da się przewidzieć. Przynajmniej nie można przewidzieć tego w tej chwili. Nie można także przewidzieć, że ktoś przyszedł do nas, bo upatrzył sobie tu synekurę. Praca PRON to trud, harówka, wysiłek i kłopot. To dodatkowe, szlachetne, ale przecież społeczne zajęcie. Choć trzeba powiedzieć, że w każdej instytucji czy organizacji mogą znaleźć się ludzie słabi. A ustrzec od tego może jedynie nieustanne odradzanie swojej moralnej i obywatelskiej postawy. Codziennie, nie tylko od święta.

— Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał: Eugeniusz Iwanicki

Lublin teatralny

Z ZACIEKAWIENIEM wzięłam do ręki wydaną niedawno przez Wydawnictwo Lubelskie książkę Stefana Kruka „Życie teatralne w Lublinie (1782-1918)” — pierwszą obszerną monografię poświęconą tutaj przedsięwzięciom teatralnym — i ... przeczytałam ją jednym tchem. A przecież ta praca źródłowa, usiana datami, faktami i setkami nazwisk aktorów w większości nie albo niewiele mówiącymi dzisiejszemu czytelnikowi, należy do tzw. lektur trudnych. Autor sięga wszak do czasów najdawniejszych, a kończy swą relację na okresie również już dzisiaj odległym: z chwilą odzyskania przez Polskę niepodległości.

Gdy jednak pominąć niektóre — niezbędne z punktu widzenia historyka teatru — partie materiałowe (myślę o nieuniknionych w pracy tego typu taslemcowych zestawach obsady aktorskiej w omawianych sztukach lub przedstawieniach), to pozostały tekst „Życia teatralnego w Lublinie” toczy się wartko, a chwilami przypomina wręcz esej lub reportaż historyczno-literacki. Zawdzięczamy to, oczywiście, przyjętej przez Stefana Kruka koncepcji książki. W przedmowie autor pisze: „Dzisiaj nie może nas zadowolić suche gromadzenie faktów [...] od pracy tego typu oczekujemy, że da ona obraz procesu historyczno-teatralnego, ukazuje ewolucję w zakresie repertuaru, stylu gry aktorskiej, konwencji scenograficznych, upodobań publiczności. Teatr interesuje nas w całej swojej złożoności, w całym — jakże bogatym — zestawie problemów, z których zagadnienia ta społeczność i politycznego, architektury teatralnej, życia artystycznego, krytyki teatralnej, nie mogą być ostatnie. Ukazać sylwetki artystyczne głównych promientów życia teatralnego w Lublinie, a zarazem nie zagubić sprawy przemian konwencji artystycznych — oto zasadnicza troska piszącego te słowa. A wszystko to winna przekażać stała refleksja dotycząca społecznej funkcji teatru, związku lub też zatracenia tej perspektywy z życiem miasta i narodu”.

Ta stale obecna w książce refleksja autora, owe odniesienia do życia miasta w kolejnych okresach rozwoju, do zagadnień społecznych i politycznych nurtujących mieszkańców Lublina i zresztą — całego kraju, to spojrzenie kompleksowe, stanowi o wielkim atucie „Życia teatralnego Lublina”. Imponuje też ogrom trudu, jaki Kruk zadał sobie przy zbieraniu materiałów: archiwalia są nieliczne, zbiory afiszów i programów teatralnych uległy rozproszczeniu. Szczególnie karygodne jest bezmyślne zmarnowanie, w okresie tuż powojennym, dziesiątków kilogramów „makulatury” narastającej przez lata na zapleczu tzw. „teatru Makowskich”, czyli dzisiejszego kina „Staromiejskiego”. Trzeba też odnotować, że poza pracami Stanisława Dąbrowskiego („Teatr w Lublinie i teatry w Lubelskiem 1860-1880”. Lublin 1929), Jana Riabinina, Ludwika Zalewskiego czy Wandy Archemowiczowej, niewiele istnieje szerszych opracowań dotyczących interesującego nas tematu. (Nie wspominając już naiwnej „monografii” napisanej przez „Jagięnkę spod Lublina” — Wandę Sliwinę i wydanej w tutejszym grodzie w r. 1948).

Z pewnością ogromną pomocą musiały być dla Stefana Kruka pamiętniki jednego z „aktorów prowincjonalnych”, człowieka o niesłychanie bujnym życiorysie, Stanisława Krzesińskiego, który z różnymi „trupami” i wędrownymi antrepryzami przemierzył w swym długim życiu dziewiętnastowieczną Lubelszczyznę wzdłuż i w szerz. „Koleje życia czyli materiały do historii teatrów prowincjonalnych” opracował, opatrzył wstępem i wydał w 1957 r. Stanisław Dąbrowski. Autor „Życia teatralnego w Lublinie” sięga do owych wspomnień często, cytując zresztą ich fragmenty, tak doskonale i w tak barwny sposób wprowadzające czytelnika w atmosferę teatru prowincjonalnego. Niech próbą będzie fragment podrozdziału „Inszenizacja romantyczna w Lublinie”, w którym mamy opis wystawienia — pióra Stanisława Krzesińskiego — melodramy Kajetana Nowińskiego, zatytułowanej: „Dwie małpy, czyli Spalenie osady brazylijskiej”, która bila rekordy popularności wśród lubelskiej (i nie tylko lubelskiej!) publiczności, a działała się to w latach trzydziestych minionego stulecia:

„Wystawa niezbyt wielka, ale uroczą. Z jednej wielkie drzewo kokosowe. Z drugiej — dom piętrowy właściciela plantacji w gęście amerykańskim, umajony pnąciami się roślinami. Od tego ciągnął się mur, dalej parę zabudowań gospodarskich, a coraz głębiej w okrag sceny domki bambusowe stanowiące mieszkania Murzynów, za tymi — gąfl palmowy.

Akt drugi kończy się spalaniem tej osady. Zbuntowani Murzyni podpalają dom osadnika. W chwili, gdy zamieszanie powstaje, gdy jedni walczą broniąc się napastnikom, inni porywają plantatora, aby go uprowadzić w góry [...]. Inni ratują, co mogą. Krzyk się słyszeć daje, że synek plantatora znajduje się w domu, do którego już płomienie przystąpiły nie dają. W tej stanowczej chwili zjawia się małpa, a naśladując ratujących rzeź, skacze w okno pierwszego piętra nie zajęte płomieniem i wkrótce ukazuje się na dachu z dzieckiem na ręku, a unikając szerczących się płomieni, skacze

na mur, po którym dostaje się na wierzch innych zabudowań. A gdy i tu płomienie się rozszerzają, skacząc z domu na dom, znikła w głąb wśród płomieni.

Sztuczne to urządzenie płomieni, stopniowo wznoszących i ogarniających całą scenę w okrag, wielki efekt zawsze sprawiało, a krzyk trwogi często dawał się słyszeć u publiczności widzącej niebezpieczne skoki małpy”.

Małpę „kreował” sam Krzesiński, który wreszcie pisze o tej swojej roli z wielką dumą.

A jak wyglądała w owych czasach gra aktorska w teatrach wędrownych? Pisał o tym w bardzo dowcipny, a także — zjadliwy sposób anonimowy autor przytoczonej przez Kruka korespondencji z Lublina, zamieszczonej w „Dzienniku warszawskim” z 15 stycznia 1854 r.:

„Aktor prowincjonalny jest geniuszem, sam sobie wzór tworzy, nie potrzebuje żadnej szkoły, od razu zostaje artystą; wczoraj jeszcze przepisywał wyroki lub wręczał na miście pozwą, dziś jest jakimś margrabią lub lordem i wcale mu z tym do twarzy. Na próżno badacz lub krytyk szukać będzie jedności, kolorytu w grze jego, geniusz nie da się uchwycić w karby, zaledwie w niektórych głównych zarysach zdagerotypować go można. Kochankowie np. powinni się do siebie wdźwignąć wykrzywianiem rysów twarzy, powinni sobie ścisnąć ręce, trzymając je pod brodą. Każda księżna lub hrabina powinna trząść głową, mówić wołno i z uczuciem, choćby rzecz szła o proste podanie krzesła, powinna trzymać chustkę w ręku i takową dopielniać resztę gestykulacji; główny bohater powinien wrzeszczeć jak oparzony; im głośniej krzyknie, im gwałtowniej obudzi uspijoną publiczność, tym rzęsiście może liczyć bravo”.

Oczywiście życie teatralne Lublina nie sprowadzało się do marnych komedylek i humorystycznych epizodów, z życia licznie odwiedzających miasto trup aktorskich, osiadających tutaj nieraz na długie okresy i stąd wyruszających „w teren”. Były czasy wielkiej świetności i doskonałych sztuk, okresy występów wybitnych artystów z Modrzejewską na czele, a repertuar teatralny przynosił sztuki najwybitniejszych autorów światowych.

O tym wszystkim pisze Stefan Kruk w swojej książce. I jeszcze: o krytyce lubelskiej, o próbach ustanowienia tutaj stałego teatru, o budowie nowego gmachu przy ulicy Namieśnikowskiej (dzisiejszej ul. Narutowicza) i o koncepcjach oraz wysiłkach miejscowej inteligencji, mających na celu krzewienie wśród społeczeństwa kultury teatralnej. Jawi się wreszcie w pracy Stefana Kruka nasze miasto wcale nie jako dziewiętnastowieczna teatralna głusza, lecz liczący się ośrodek prowincjonalnego teatru wędrownego. Choć często produkt artystyczny prezentowany na tutejszych scenach pozostawił wiele do życzenia...

Chciałoby się teraz jak najszybciej dostać do rąk dalszą część „Życia teatralnego w Lublinie”. Tę dotyczącą dwudziestolecia międzywojennego i czasów najnowszych. I żeby następna, równie starannie wydana książka, zawierała jednak znacznie więcej materiału zdjęciowego.

Lubelskie środowisko teatralne otrzymało w okresie poprzedzającym Międzynarodowy Dzień Teatru wartościowy prezent.

A na marginesie: czy Wydawnictwo Lubelskie nie wznowiłoby wspomnień Stanisława Krzesińskiego? Lektura pasjonująca, temat „lubelski”, zbyt i rynek — zapewnione.

Mirosław Derecki

Stefan Kruk: Życie teatralne w Lublinie (1782-1918). Wydawnictwo Lubelskie, Lublin 1962.

Kiedy człowiek dojrzeewa

PO „Przygodzie nad siedmioma źródłami” Adolf Lekki wydał „Trójkąt pięcioramienny”. Jeden i drugi tytuł zawiera intrygującą kombinację cyfrową, a zatem może liczyć na zainteresowanie przede wszystkim matematyków w wieku harcerskim. Ale już po przeczytaniu kilku pierwszych stron okazuje się, że opowieść ta przeznaczona jest niekoniecznie dla matematyków czy wyłącznie dla harcerzy, a po prostu dla tych dorastających ludzi, którzy więcej niż dostatecznie opanowali sztukę czytania, mają akurat zapasik wolnego czasu i chcą się dowiedzieć różnych różności ważnych dla tego wieku, kiedy nie wystarczy znajomość najbliższej okolicy, a promień zaciekawienia światem zaczyna się galopująco wydłużać.

W opowieści „Trójkąt pięcioramienny” autor zmiany te ukazuje przy udziale nie byle kogo, bo samego Krzysia Leskiego, który dokonuje rozmaitych odkryć, prowadzi bogate życie duchowe, a ponadto utrzymuje szerokie kontakty korespondencyjne z zagranicą; wymienia bowiem listy z osobami równie reprezentatywnymi dla swych krajów jak nasz bohater, a to z Achmudem ze Związku Radzieckiego i z Hansem z Niemieckiej Republiki Demokratycznej. Krzysiu miał okazję zaprzyjaźnić się bliżej z Hansem i niektórymi jego rówieśnikami kiedy ojciec architekt zabrał go ze sobą na pół roku do Drezna i oddał tam do szkoły niemieckiej. A wszyscy najczynniejsi uczestnicy zdarzeń

powieściowych, to znaczy Krzysiu, Hans, Achmud, Zosia i Helga, mają okazję spotkać się, ostro rywalizować i serdecznie zaprzyjaźnić już podczas najbliższych wakacji na obozie Międzynarodowej Akcji Letniej „MALTA”, który autor zafundował naszej piątce w wyjątkowo urodzivej części polskiej centralnej, mianowicie na Szlaku Orlich Gniazd w pobliżu Rabsztyna.

Okolice są tam istotnie atrakcyjne, dowódcy obozu dokładali wszelkich starań, żeby wspólne wyprawy i zabawy były nie tylko pociągające, ale i pouczające, zaś fantazja pisarza okazała się nad wyraz bystra i wynalazcza, nie przeto dziwnego, że akcja „Trójkąta pięcioramiennego” biegnie wartko wśród dramatycznych spój, które wystawiają na próbę wszelkie umiejętności, odwagę, a także charakter całej piątki bohaterów. Sprawdzają się — jak przystało na nasze czasy — w gromadzie, w odnośniku się do siebie i do własności wspólnej, nie stroniąc zarazem od zamyśleń nad poważnymi sprawami, choćby nad wyborem zawodu i ukierunkowaniem swojej przyszłości. Należy wprowadzić do różnych narodów, lecz problemy, jakie stają przed nimi, są takie same dla każdego i każdej z osobna. Wszyscy bowiem muszą myśleć o znalezieniu odpowiedniego miejsca w zbiorowości, zdobyciu kwalifikacji i nabyciu umiejętności odróżnienia dobra od zła. A do tego nawet jedno lato spędzone w gronie rówieśników z różnych krajów okazuje się bardzo pożyteczne, ułatwiające otrzaskanie z językami itp.

Wszystko to Adolf Lekki wyłożył w „Trójkącie pięcioramiennym” w sposób niemal sensacyjno-przygodowy, nie stroniąc przy tym od poradnictwa i intencji dydaktycznych, popularyzatorskich. Mogą te tendencje tego i owego z bardziej niecierpliwych zapaleńców znużyć, ale są zarazem godną pozazdroszczenia propozycją dla absolwentów szkoły podstawowej. Nie każdy chłopiec czy dziewczyna ma tak zdolnego latę architekta jak Krzysiu Leski. I tyle szczęścia, żeby się dostać na tak fajny obóz międzynarodowy. Ale starać się nigdy nie zaszkodzi. Jeśli się samemu nie uda wkręcić w podobne towarzystwo, można o tym w każdej sposobnej chwili poczytać u Adolfa Lekkiego w „Trójkącie pięcioramiennym”. Na prawach nie absorbującej i zdrowej rekompensaty.

Feliks Fornalczyk

Adolf Lekki: Trójkąt pięcioramienny. Wydawnictwo Lubelskie, Lublin 1962.

Poetyckich wspomnień czar

ZABIERAJĄC się do omówienia tej książki, czynię to w ponurym przekonaniu, że niewielu osobom taka książka dziś jest potrzebna do szczęścia, a może jeszcze mniej — pisanie o niej. To książka o poezji i poetach, towar regularnie przeceniany przez samo życie, temat astralny w dosłownym i przenośnym znaczeniu. Kto dziś, oprócz poetów, krytyków orasich żon pochyla się nad recenzją czy esejem o poezji? Kto dziś rozprawia przy kawie (kawie?) o nowym zbiorze wierszy, który właśnie wyszedł, ale nie doszedł do głównej księgarni w mieście wojewódzkim?

Mój dziwaczny zamysł publicznego dostrzeżenia książki właśnie poetyckiej dotyczy zbioru felietonów poetyckich Jerzego Kwiatkowskiego, publikowanych niegdyś w „Twórczości”, a traktujących o aktualnych wówczas wydarzeniach i nazwiskach poetyckich. Felietony miały zunifikowany rozmiar — około trzech stron maszynopisu — taką bowiem przestrzenią dysponował w tym znacym miesięczniku ów znakomity krytyk, dzieląc tradycyjną dół recenzentów w pismach, opartą niezmiennie na dwóch prawdach: że nie są wcale potrzebni do istnienia pisma, a po drugie — że piszą zawsze „za długo”, więc trzeba ich skracać.

Ten sam miecz wisł nad recenzjami cudzych recenzji i nie wiem, czy fetysz przestrzeni nie przerwie w połowie druku mojego pienia na temat tej książki.

Jerzy Kwiatkowski to mój protegowany. Kiedy pisałem w dość dawnych już czasach pracę magisterską na temat młodej poezji polskiej lat 1956-1960, Kwiatkowski był mi jako ta latarnia na wzburzonym morzu poezji tego okresu. Rozdawał już wtedy laurki i ciosy prawie nieomylnie, a przy tym tak sugestywnie, że paru omawianych przez niego młodych poetów pozwoliłem sobie w ogóle nie czytać, na co może pozwolić sobie tylko Artur Sandauer, a nie magistrant.

Dwa główne spostrzeżenia nasuwają się przy lekturze „Felietonów poetyckich”. Pierwsze — to, że Jerzy Kwiatkowski jest wybitną indywidualnością krytyczno-literacką. I drugie — że dokonuje się w tej niewielkiej książce przeglądu najważniejszych wydarzeń poetyckich kilkudziesięciu ostatnich lat: nazwisk, tendencji, polemik

Przed wszystkim wszak na główny plan wysuwa się aktywność i wierność profesji — przez wiele lat nie w poezji polskiej nie działo się bez Kwiatkowskiego: olbrzymia liczba recenzji, potwierdzanie się tych autorów, w których Jerzy Kwiatkowski „inwestował” swoje pozytywne oceny, oraz duża liczba publikacji książkowych. W tej ostatniej zasłudze — rozstrzygająca rola Wydawnictwa Literackiego.

Jerzy Kwiatkowski debiutował już w 1960 roku poezją: „O poetach dwudziestolecia międzywojennego”, lecz prawdziwe pole krytyczne wykryła mu fala nowej poezji po 1956 roku, gdy zwłaszcza doszła do głosu fascynacja literaturą zachodnią,

CALA drogę uważnie obserwował domy wygrzewające się w jeszcze skąpym słońcu wiosennym. Syn, wbrew sobie przypięty pasem bezpieczeństwa, sztywno siedział obok Hanka, czasem pytał ojca, czy pamięta te wsie, gospody, drogi, lasy, czy właśnie był tutaj. Stary ani razu nie odpowiedział, zastanawiał się ciągle, kogo Hanka mu przypomina. Musiała kogoś przypominać, skoro już na stacyjce w Lubniewie dostrzegł w niej niezupełnie obce rysy. Całą drogę męczyło go to strasznie, ale nie miał odwagi tak po prostu spytać. „Może tylko mi się zdaje?” — męli myślami. Hanka tymczasem ostrożnie prowadziła trabanta dość wąską i krętą asfaltówką, nie zważała ani na Zygmunta, ani na staro. Czasem odwracała głowę na prawo i uśmiechała się, ukazując zęby jakby obleczone w białe krochmalone płótno.

— Uważaj! zakręt — krzyknął przestraszony Zygmun, a stary kureczowo chwycił się oparcia fotela.

— Na pamięć znam tę drogę — powiedziała do obu. — Za zakrętem będzie jeszcze jeden, później znowu zakręt, a za ostatnim...

— Skręt w prawo — przypomniał sobie Zygmun i położył rękę na kolanie Hanka. — Piękne są Łużyce. Najpiękniejsze. Piękniejsze niż Weimar Goethego. Prawda, tata?

Stary był zaniepokojony, nie zważał na uwagi syna,

patrząc prosto w jej szafirowe oczy, ona delikatnie musnęła go w policzek. A potem, jeszcze bardziej zakłopotany, złożył swój prawdziwy pocałunek na jej lekko rozwarstwach ustach.

— Młodzi — stwierdził stary, ruchem głowy wskazując syna i Hankę — Młodzi nie znają żadnych granic. Nie dzielą ich języki, nie różnią obyczaje. Młodzi bez słów rozumieją się lepiej niż my, już starzy.

— Ojciec czasem lubi zabawić się w polityka — rzekł żartobliwie Zygmun, ale stary jakby tego nie słyszał. Chwilę wpatrywał się w Hankę i panią Frenclową, szukał doskonałego podobieństwa, a ono było prawie wszędzie. Identyczny wykrój wąskich, trochę za wąskich ust, te same dolki w policzkach, szafirowe oczy ostrońte gęstymi rzęsami, nawet podobny uśmiech. Chciał, aby pani Frenclowa właśnie teraz zrobiła jakiś krok, porównałby ich chód.

Umyli ręce w ciepłej wodzie, weszli do przestronnego pokoju, wtedy Zygmun rozpakował torbę podróżną i wyjął z niej dwie laleczki — Lubuszanki i Lubuszanę.

— Dziękuję ślicznie. — Pani Frenclowa przyciągnęła Zygmunta do siebie jak matka syna. — Piękny prezent. Polskie stroje?

— Najprawdziwsze. Z Zielonej Góry.

— Wiele podobieństwa do ubiorów łużyckich, prawda mam? — Teraz Hanka oglądała laleczki. Bawiła się nimi jak dziewczynka. — Czerń, czerwień i ten chaber najżywszy.

ryczenie krów i szczebiot pierwszych płaków wiosennych. „Czyżby Wórśa? — zastanawiał się, ukradkiem obserwując profil jej malej, zmęczonej twarzy. — Jeśli zapytam, mogę urazić. Wiele kobiet zachowało urodę młodości”.

— Wyszłam za mąż zaraz po wojnie. Jurij wrócił bez nogi, ale cały. Po co ja to panu opowiadam? Wycie...

— Tak, myśmy tę wojnę aż za dobrze zapamiętali. Nie potrafimy zapomnieć o niej ani na dzień.

— Pan... — Zaczęła i nie skończyła, oczy wbiła w firankę.

— Nie walczyłem z karabinem w rękach. Ja się ukrywałem. To niczego nie tłumaczy. Spośród was też nie wszyscy... — urwał i napił się już ostygiej kawy. — Proszę pani, nurtuje mnie... Mam wątpliwość... Niech mi pani wybacz ciekawość... — pisał się w sieci słów, nie umiał powiedzieć tego, co go zastanawia od rana, a co spotęgowało wątpliwość w tym wielkim domu.

— Nie winię Jurija. On na pewno nie chciał... Niewiele z naszych chciało... Czy ktokolwiek pytał, czy nas...?

— Ja nie o tym. Nurtuje mnie pytanie bardzo osobiste... — oczy wbił w ścianę i niczego nie powiedział.

Frenclowa była przekonana, że stary chce spytać o męża. Niewiele wiedziała. Nigdy o tym nie rozmawiała z Jurijem, zresztą nie odpowiedziałby. Taki on był, odkąd go poznała: zamknięty w so-

SPADKOBIERCY

Alfred Siatecki

ciagle wpatrywał się w sznury zabudowań przyległych do asfaltówki. Było to pozorne odciążenie rozbieganych myśli od najważniejszego, które musi się wyjaśnić, jeszcze dziś. Naraz dostrzegł wielki dom ze spadzistym dachem, przykucnięty tuż przy wstążce szosy. „Jeżeli za podwórkiem będzie sad jabłoniowy, za sadem równina pół przeciętych strumykami i aleją wierzb po obu stronach...” Miał rację, strumyk pędził aż do lasu olchowego, zawracał i już za wsią dotykał szosy. „To tutaj. Dwa lata uciekania i mordęgi nieludzkiej. A gospoda...?” Zastanawiał się, czy gospoda była na początku wsi, czy też z drugiej strony, obok czworoboku cmentarza i kościoła dość smukłego. „Tyle czasu” — powiedział sam do siebie i w myślach, i jakby z melancholijnym rozrzwienieniem, ale zaraz kino pamięci przywołało włosne, przyłot bocianów, pożegnanie z Wórśa. To imię, chociaż trudne do zapamiętania, potem wymawiał dość często. Którejś nocy żona zbudziła go ze snu i spytała, czy nie jest chory. „Wolałś. Marian, ukrywasz coś przede mną”.

— Szczęśliwie dojechaliśmy na miejsce — oznajmiła Hanka, zatrzymując trabanta tuż przy szeroko otwartej furcie.

Gdy się wygramolili z auta, Zygmun pomógł staremu zapiąć płaszcz, ręką przyglądził trochę rozwichrzony włosy, Hanka zaś sprawdziła zapas benzyny w baku. Stali tak może minutę, może dłużej, czekali aż ona zatrzśnie drzwiczki auta i poprowadzi ich na podwórze, stamtąd do domu gościnnego.

— Jak się panu podoba? — spytała starego, wskazując kiskowatą, uprzątniętą szosę i przyklejone do niej niskie domki o stromych, czerwonych dachach, zręcznie maskujące swój prawdziwy wiek.

— Ładnie tu — pochwalił stary i raz jeszcze, nie wiadomo który, spróbował przypomnieć sobie, kogo dziewczyna mu przypomina. Teraz mógł do woli obserwować ruchy Hanka, gesty długich rąk, mimikę owalnej, jasnej twarzy. — Pani tutejsza? — zapytał i zaraz pożałował tego. Gotowa jeszcze pomyśleć, że coś go gnębi.

— Tutejsza, tutejsza. Cała rodzina Frenclów tutejsza. Mój dziadek odziedziczył gospodarstwo po swoim dziadku, tamten dziadek po wcześniejszym dziadku...

— Jak w tej rosyjskiej bajce — śmiejąc się przerwał jej Zygmun, ale ona już nie skończyła poprzedniej myśli.

— Mama urodziła się w sąsiedniej wsi, przejeżdżaliśmy tamtędy. Ten wielki dom wtedy pana zaciekawil. Kiedyś należał do Bulanga. Kiedyś... To znaczy przed wojną i w czasie wojny.

— Do Paula Bulanga — rzekł stary. — Miał trzech synów: Antona, Christiana i Paula.

— Skąd pan wie? — zaciekawila się, chwytając starego za rękaw płaszcza. — Podobno Anton mieszka w Bawarii... Przepraszam, pan znał Bulangów? Nie rozumiem...

Stary nie odpowiedział, a ona już nie powtórzyła pytania. Ujęła Zygmunta pod ramię i obu poprowadziła do domu. Na małym ganku czekała pani Frenclowa.

— Mam, to jest ojciec Zygmunta — powiedziała Hanka, stając na schodach.

— Dzień dobry, Frenclowa. — Wyciągnęła drobna dłoń do powitania. Stary pochylił się nisko, w jednej ręce trzymał kapelus, drugą zaś ujął jej dłoń i ucałował. — Nie trzeba — niby się bronila.

— To taki polski zwyczaj — Zygmun pośpieszył z wyjaśnieniem.

— Bardzo miły zwyczaj — pochwaliła Hanka. — A mnie? — powiedziała do Zygmunta.

Zygmun jakby się zakłopotał, najpierw pocałował dziewczynę w dłoń, nie chyląc głowy, tylko

— Bliskość kultur słowiańskich — krótko skwitował Zygmun, wskazując koronkowy czepek Lubuszanki.

Przy obiedzie stary spostrzegł, że pani Frenclowa przygląda mu się z wielką uwagą, nie robi tego wprost, ale gdy wychodzi do kuchni, staje w rozdzielonych drzwiach i wpatruje się, nie w Zygmunta, lecz właśnie w niego. Niby nie zwracając uwagi powiedział, że lubi dobre jedzenie, szczególnie kiedy może kosztować aromatyczne piwo. I jakby na potwierdzenie tego chwycił butelkę ze stołu, odczytał: „Cottbuser Bier”, a potem nalał sobie całą szklanke, aż piana kozucha spłynęła na śnieżny obrus.

— „Radeberger” podobno lepiej smakuje? — przypomniała Zygmunowi Hanka. — Pamiętasz, jak zapraszałeś mnie „Pod Białego Łabędzia”? Wie pan — teraz mówiła do starego — lubiłam chodzić tam nie dlatego, że była to restauracja historyczna, ale że Zygmun mnie zapraszał.

Stary nie wszystko rozumiał. Dokładnie wsłuchiwał się w każde jej słowo, więcej się domyślał, niż słyszał. Przecież prawie czterdzieści lat był z dala od języka niemieckiego, a i wtedy niewiele się nauczył, opanował skromnie podstawowy zasób słów, tyle, ile potrzeba, żeby przetrwać. Czasem słyszał jakieś słowo łużyckie, wydawało mu się, że jest w Polsce, ale tych słów było tak niewiele, jeszcze mniej niż nadziei. A on wtedy myślał ogarniał dom rodzinny, daleki, wierzył i nie wierzył, że kiedykolwiek wróci na Zamojszczyznę. Tysiąc kilometrów dzieliło go, ale gdyby mógł, przebyłby je w dzień, siedząc noc i dzień, bez snu, bez odpoczynku.

Po trochę wystawnym obiedzie młodzi ubrali się ciepło i poszli na spacer. Pani Frenclowa zebrała naczynia ze stołu, umyła je w kuchni, a kiedy zegar ścienny wydzwonił trzecią, zaprosiła gościa na kawę i ciasteczka. Stary nie miał już wielu zębów, toteż z trudem chrupał ciasteczka, bał się, że jeśli odmówi, gospodyni będzie przykro.

— Moja starsza córka mieszka w Budziszynie — poinformowała, chociaż on o to nie spytał. — A pan, ile pan ma dzieci?

— Też dwoje. Córka jest lekarzem, Zygmun... On sam jeszcze nie wie... — Nie skończył, urwał w połowie, jakby dopiero teraz przypomniał sobie, że nigdy nie rozmawiał z synem o jego przyszłości. — Kim jest pani córka? Myślę o starszej — dodał.

— Nikim wielkim. Pracuje w sklepie. Jako sprzedawczyni.

— Też dobry zawód — pochwalił.

Zamilkli na chwilę, bo wydawało im się, że ktoś puka do drzwi. To tylko wiatr zbierał zeszlitoroczne liście i uderzał nimi jak batem w drzwi, w okiennice, świszczal i niepokoił. Stary już chciał otworzyć usta, gdy przypomniał sobie prośbę syna, by nie zadawał zbyt wiele pytań. Pierwsze odpowiedzi muszą pozostać w pamięci drobiny niedopowiedzenia. Dopiero przy następnych można sobie pofolgować.

Podobało się staremu: klasa wiosenna, ciepły, duży i wygodny dom. Nie lubił tych nowoczesnych mebli, w których same drzwiczki i szafki. Zawsze mu się myliło, nie pamiętał, gdzie córka układa kosule, gdzie jego skarpety. Chciałby po swojemu, jak w domu dziecięcym, wszystko trzymać na jednej półce.

— Od dawna mieszka pani samotnie? — zagadnął, bo wydawało mu się, że tak dłużej nie można milczeć. Pani Frenclowa gotowa śle to zrozumieć. — Cztery lata temu... Jurij chorował na serce... Akurat Hanna zapisała się do konserwatorium w Weimarze... Ciężko kobiecie... Cóż ja...? — rozłożyła ręce. — Nawet maszyny nie są wieczne.

— Prawda — zgodził się i przytaknął. — Bo ja także jestem samotny. Zona zginęła w wypadku ulicznym, przechodziła plac... Zawsze mówiłem, że by uważała, bo wielkie miasto to nie nasza wieś.

Znowu milczenie. Słychać było warkot aut przemyskających asfaltówką w kierunku Lubniewa, krzyki dzieci hurmem ciągnących na boisko szkolne,

bie, uparty, zawzięty. Pamięta, jak Anton Bulang przysłał list z Ulm. Jurij zachłannie rozerwał kopertę, szybko przebiegł wzrokiem zapisany arkusz kremowego papieru i powiedział: świnia. Co było w liście, nie wyjaśnił, a ona nie miała odwagi spytać.

— Marian?

— Tak, to ja. Tyś Wórśa, czy, jak się wtedy mówiło, Urszula? — Z kieszeni marynarki wyjął paczkę papierosów, ale ręce tak mu drżały, że nie umiał zapalić zapalki.

Wórśa nisko zwiesiła głowę na piersi, jakby się czegoś wstydzila. O czym teraz myślała, czy odtwarzała słowa sprzed blisko pół wieku? Dopiero po dłuższej chwili cicho się odezwała:

— Uciekłeś bez pożegnania. Dobrze, Marian, dobrze że uciekłeś. Ja nie miałam dokąd uciekać... Dobrze, Marian...

— Jednak Wórśa. — Wstał i wyszedł na podwórze.

Cieszył się i żałował. „Po co przyjechałem? I tak niczego nie zmienię. Zresztą nie ożeniłbym się z nią. To było niemożliwe. Nie ja decydowałem o sobie, lecz ona! Frau Bulang, grossvater Bulang, nawet Paul, póki żegnany wiatami w gospodzie nie poszedł na front. Każdy mógł mnie oskarżyć i zabić. Nawet zabić.” Stał oparty o pień starej lipy i palił papierosa za papierosem. Na łacie pod lasem olchowym klekotał bocian. Naraz poczuł lekkie dotknięcie w łokcie.

— Długo myślałam o tobie, Marian — powiedziała Wórśa, biorąc go pod ramię. — Dopiero po wojnie zrozumiałam, że musiałeś uciekać. Marian, pamiętasz...?

— Nie przypominaj — poprosił patrzeć przed siebie. — Młodość nie wraca jak pory roku, ani jak te bociany. Ty i ja wychowaliśmy dzieci, doczekaliśmy w spokoju emerytury.

— Kiedy wszedłeś na podwórze, od razu ci poznałam, ale nie miałam pewności — przyznała się Wórśa.

— I ja — uśmiechnął się do niej. — Chodźmy do domu. Zaraz dzieci wrócą.

— Cieszę się. Nie udało się nam, niech oni naprawdę będą szczęśliwi. Kiedy Zygmun powiedział, że poznał twoją Hankę, nie od razu zaakceptowałem jego wybór. Co to, w Polsce nie ma pięknych panien? — spytałem. A on na to: — Są. W Polsce nie ma takiej jak Hanka.

Pani Frenclowa wyjęła z szuflady album ze zdjęciami. Stary rozpoznawał ludzi, których nigdy więcej nie widział. W pewnej chwili chciał spytać, czy zachowała jego fotografie z tamtych lat, ale się wstrzymał. Po co przypominać przeszłość, które drażni i boli jak zadra? Wiedział, że o przeszłości można nie mówić, nigdy jednak nie należy o niej zapominać. Przeszłość to lekka, przelotowa przyszłość. Wiedział też, że taka przeszłość obca jest Zygmunowi i Hance.

Naraz oboje równocześnie usłyszeli ciche szmer i szepty dochodzące z ganku, a potem rozległ się śpiewny głos Zygmunta:

Hanka, bądź wiosła,
holiśo rjane, holiśo rjane,
Runieź by njesyła zorujeśko łane,
runieź by njesyła zorujeśko łane.

— Od kiedy to, Zygmun, śpiewasz po łużycku? — spytała zadowolona pani Frenclowa.

— Śpiewam po łużycku, Kocham po polsku. — I na dowód tego ucałował panią Frenclową, ojca, a na końcu, jakby w skrępowaniu mocno przytulił Hankę do piersi. Gdy rodzice znacząco mrugnęli do siebie, Zygmun pocałował Hankę w usta, długo i inaczej niż w chwili powitania na ganku.

— Młodzi — stwierdził stary.

— I myśmy, Marian, byli młodzi — dorzuciła pani Frenclowa. — Myśmy się ko... — spojrziała na Hankę i Zygmunta, lecz oni trwali w długim pocałunku. — Pomożesz przygotować kolację?

ŚMIECH PO POLSKU

Krzysztof Wiczorek

STARY wyjadacz harcerskiej służby, druh harcistrz Paweł Wiczorek, napisał opowiadanie, którego akcja toczy się w Puszczy Solskiej pewnego (niezbyt pogodnego) lata 197... Tytuł: „Byśmy umieli się śmiać”.

Zawiazanie intrygi jest całkiem niewinne: drużyna wesolych, rozśpiewanych chłopaków ze Śląska przyjeżdża na obóz harcerski. Ich bez troski śmiech i zadowolenie z życia kontrastują z ponurym chłodem gospodarza lasu — zgrzyliwego, osowiałego mruka. Ale fabuła zmierza ku makabrycznej kulminacji: w czasie nocnej burzy w koronie zwalanej sosny harcerze znajdują ludzki szkielet, przytroczony pasem do pnia trup partyzanta z 1944 roku. Leśniczy wyjaśnia: „Wchodzili na drzewa. Kryli się tam przed obławą, często ranni. Przywiązali się, by nie spaść. Teraz ich znajdujemy... ja już czterech”. A jednak, pomimo przerażających nocnych przeżyć, kiedy rano słońce wychodzi zza chmur, druhowie znów są roześmiani i pełni humoru. Konkluzja: „oni także i po to ginęli, byśmy teraz umieli się śmiać”.

W tej umiejętnie dobranej scenerii pachnącego wakacjami lasu, w kontrastowej grze nastrojów — śmiechu i grozy, dowcipu i poważnej refleksji — staje przed nami pytanie niebiahe: czy rzeczywiście umiemy się śmiać — my, Polacy niezbyt pogodnych lat tysiąc dziewięćset osiemdziesiątych?

Niektórzy twierdzą, że śmiech jest po prostu reakcją fizjologiczną, taką samą jak kichanie czy czkawka, nie wymagającą żadnej specjalnej umiejętności poza tą, którą wszyscy mamy w genach. Jednakże choć jest w tym twierdzeniu wiele racji — problem śmiechu sięga nieco głębiej. Nie tylko w fizjologię. Inaczej przecież śmiejemy się z laskotek, inaczej w kinie, gdy na ekranie panowie w eleganckich frakach obrzucają się tortami, inaczej w kabarecie literackim, jeszcze inaczej... z siebie. Śmiech nie jest prostą, zaprogramowaną reakcją na z góry przewidziany repertuar bodźców. Umiąć się śmiać — to dostrzegać powody do śmiechu, również w tym, co nie każdemu i nie od razu wydaje się śmieszne. To wznieść się ponad poziom śmiechu fizjologicznego, wywołanego laskotaniem czy nagraniem na taśmę „śmieciami z puszek”, ponad poziom niewiele się odeń różniącego rechotu spod budki z piwem, wzbudzanego przez sprośne „witze”. Więc jest się czego uczyć. Tym bardziej, że — jak zgodnie podkreślają teoretycy humoru — śmiech jest niebezpiecznym narzędziem bronią o dużej sile rażenia.

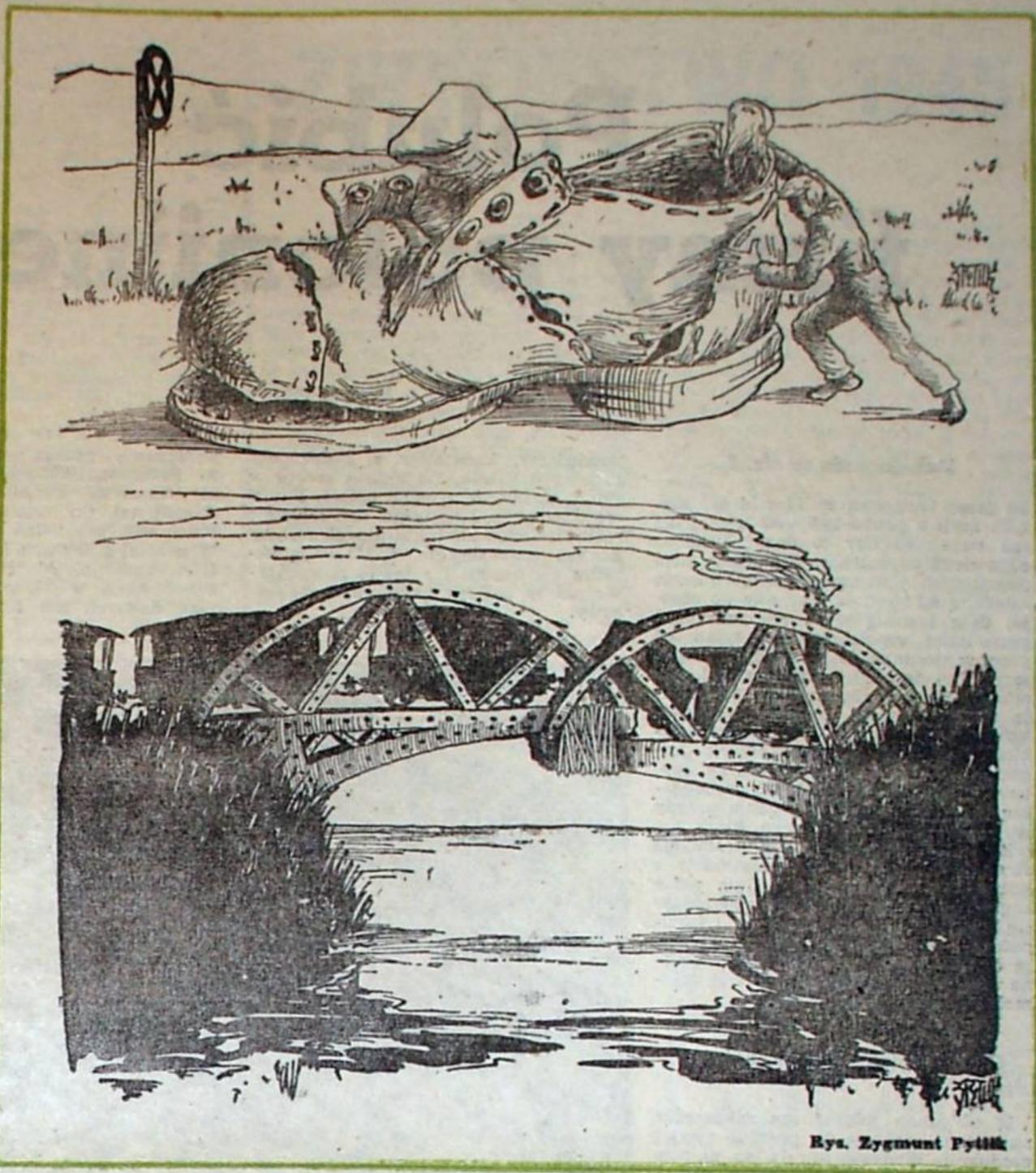
Bo śmiech jest zawsze skierowany przeciwko komuś. „Humor wszędzie coś burzy, wszędzie kogoś peszy, wszędzie stawia na głowie jakiś bezpiecznie rozkład pewnik” — napisał Joseph Folliet. „Bo powiedzmy najprościej: śmieszne i niedorzeczne jest zawsze coś wobec czegoś” — dodaje Anna Morawska. Śmiech jest deklaracją wyboru pomiędzy wartościami. Jest wznieśnięciem się ponad jakąś wartość (najlepiej tę właściwość wyczuwa język rosyjski, tworząc związek frazeologiczny „śmiejać się nad czymś”), lecz w imię akceptacji innej wartości. Śmiejemy się z czegoś dlatego także, że coś innego nie wydaje nam się śmieszne. „Trzeba więc coś wiedzieć na pewno, ażeby dostrzec absurd wszystkiego innego, z sobą samym włącznie” — formułuje tę myśl Morawska.

Patrząc z tej perspektywy, zauważamy nowy wymiar śmiechu. Gdy coś nas bawi w naturalnym odruchu przez swą niedorzeczność w zestawieniu z akceptowanym na co dzień ładem świata, wtedy wszystko jest w porządku. Ale bywa i tak, że śmiejemy się po to, by ugruntować w sobie — wcale nie takie absolutnie oczywiste — przekonania o wyższości czegoś nad czymś. Albo by u kogoś wywołać negatywną postawę wobec czegoś, czemu nie potrafimy się przeciwstawić innymi środkami — na przykład logiczną argumentacją. Śmiech tak użyty jest bronią obosieczną. Jeśli się uda kogoś lub coś ośmieszyć, to biada ośmieszonemu! Ale jeśli się chce wywołać efekt komiczny wbrew rzeczywistości porządkowi wartości, można ponieść sromotną klęskę.

Po tych ustaleniach teorii humoru (która jest, jak sama nazwa wskazuje, poważną dyscypliną naukową) warto chyba zadać sobie pytanie bardziej praktyczne: jaka jest nasza polska kultura śmiechu — dawniej i dziś — i czy aby w tej dziedzinie nie mamy sobie nic do zarzucenia?

Kultura każdego narodu kształtowana jest przez jego historię. Truizmem jest powiedzieć, że nasze narodowe dzieje — przynajmniej od wieku XVIII — nie były zbyt wesole. Mimo to nie jesteśmy narodem ponurym ani gburowanym, choć są w dziejach naszej kultury epoki bardzo serio, kiedy żart i humor, węgłując gdzieś na uboczu, traktowane były obojętnie lub wręcz wrogo, a czasem niemal jak zdrada. Ale — o ironio losu! — w okresach najtrudniejszych i najczarniejszych, kiedy naprawdę trudno wymagać od kogokolwiek, by był wesół, śmiech świecił nieoczekiwane triumfy. Przykładem — warszawska ulica z lat hitlerowskiej okupacji. Na pewno więc natura nie poskąpiła Polakom poczucia humoru. Ale jest ono dość szczególnego gatunku.

Wiele jest narodów o specyficznym poczuciu humoru: powszechnie znany jest absurdalny angielski „pure nonsense”, czy dowcip francuski — lekki, finezyjny, przesycony erotyzmem; tomy całe napisane o humorze żydowskim. U Polaków uderza inna cecha. Aby ją wydobyć, posłużymy się konkretnym zestawieniem cytatów.



Rys. Zygmunt Pytlak

W jednej ze swych książek Gilbert K. Chesterton, Anglik w każdym calu, nazwał śmiech „królewskim gestem wobec życia i wobec siebie”. A nasz czołowy prześmiewca pierwszej połowy XX wieku, niedościgniony Tadeusz Boy-Zeleński, napisał w r. 1928: „...to jest właśnie moja rola być antydotem na wasze uroczyste błagi. Być bodaj dawnym błaznem, dzięki któremu lud światu znoś kosztowną nicość królewskiej purchawki”. Jest w tym zderzeniu dwu postaw jakiś błysk iluminacji, ośniewająco krótka i trafna synteza: śmiejący się Anglik nazywa siebie królem, śmiejący się Polak — błaznem. W tym kontraście ujawnia się zasadnicza różnica życiowych postaw. Z jednej strony mamy spokojną i niewzruszoną afirmację świata i swojej w nim pozycji, głębokie przekonanie, że świat jest domem dla mnie, zbudowanym na moją miarę i dla mojej wygody. Śmiech jest wyrazem mojej suwerenności wobec świata, w którym nie mnie nie może dotknąć. Potwierdza to wypowiedzi innych angielskich myślicieli: dla Locke'a na przykład, dowcip (a wit) to polegające na różnorakim kojarzeniu idei, „poważne obrazy i przyjemne wizje wyobraźni”; dla Hobbesa śmiech jest „nagłą radością, powstającą z nagłego zrozumienia pewnej naszej wyższości w porównaniu z wadami innych lub z naszą własną poprzednią”. Zupełnie inny pogląd na funkcję humoru znajdujemy u Boya. Śmiech jest według niego osłodą twardości i nieraz przykrej rzeczywistości, a czasem wręcz bezkompromisową walką z otaczającym złem, pychą i obłudą, dopominaniem się o swe zapoznane prawa. Mogłoby się wydawać, że idea ta jest bez zastrzeżeń piękna i szlachetna: humor pełniący służbę społeczną jako oręż w walce o sprawiedliwość. Rzeczywistość jest jednak inna. Polski śmiech spod znaku błazna bardzo często oddaje się w inną służbę. Bo wzbudzony jako reakcja przeciw temu, co nas przerasta, przytacza i budzi sprzeciw, jest od poczęcia pokalany goryczą. Czasem sarkazmem, drwiną, szyderstwem. Polski śmiech zbyt często bywa śmiechem agresywnym, który zamiast odprężenia budzi gniew. A jeśli nie gniew, to poczucie bezsilności: śmiejemy się, bo coż nam pozostało?

Grzech pierworodny polskiego śmiechu tkwi bowiem głębiej, u samych korzeni. Jest to śmiech sprzeciwu wobec otaczającego świata, który nigdy nie jest w stanie nas zadowolić. Jest to śmiech skrzywdzonego, skrzywionego, niezadowolonego zawsze, wszędzie i ze wszystkiego. Znana to cecha i nie nowa — „kompleks polski”; nigdy nie czujemy się dopieszczeni i docenieni za wiekopomny wkład wniesiony tu i tam. Zawsze więcej nam się należy, niż ktokolwiek jest skłonny nam dać. A wszystko to świadczy o jednym: że brak nam, kompletnie brak nam poczucia własnej wartości. Czujemy się Kopciuszkami świata. Spragnieni jesteśmy pochwał i oklasków, bo w nas samych nie

ma pewności, że jesteśmy coś warci. Na świadomość tego faktu wyrósł Gombrowicz. Na nieświadomość tego faktu wyrasta specyficzne poczucie humoru, które stawia świat na głowie. Bo — jak mówi teoria — aby coś uznać za śmieszne, czegoś trzeba być pewnym. W tym wypadku jest odwrotnie: zamiast budować śmieszność na pewności i afirmacji, budujemy pewność na śmiechu i negacji. Budujemy pewność siebie, sztuczną i podszytą łąkiem, żeby samemu nie stać się śmiesznym. Bo wtedy wszystko się zawali: wszystko i wszyscy są śmieszni wobec mnie; skoro i ja jestem śmieszny, cóż się jeszcze może ostać? Pozostaje szyderczy cynizm „wsio argal” (wszystko jest... odpadkiem), jak mówią w Mongolii.

Pora na akcent optymistyczny, by ta pisanina nie traciła zbytnio żeromszczyzny. Oczywiście nie wszyscy i nie zawsze śmiejemy się jak błazni, którzy może być błaznem tylko dzięki temu, że ktoś inny w tym czasie jest królem. Stać i nas na „królewski gest wobec życia i wobec siebie”. Rzecz w tym, by wypracować w sobie postawę, która ten gest umożliwi i upowszechni. Chodzi o postawę generalnej zgody na świat: zaakceptowania go takim, jaki jest. Bynajmniej nie jest to równoznaczne ani ze stoicką rezygnacją ze wszelkich zmian, ani z konserwatywnym programowo wrogim jakimkolwiek reformom. Idzie tylko — a może: aż — o przebudowę samych fundamentów. Zamiast myśleć: „lepiej wszystko wyśmiać, wszystko zniszczyć, niż zgodzić się na świat taki, jaki jest” powiedzmy sobie: „dobrze, że mamy to, co mamy; lepiej by było, gdybyśmy mieli więcej”. Zamiast totalnej negacji — umiarkowana afirmacja. Aby to, co stworzymy, było dodawaniem do tego, co już stworzone, a nie wkładaniem całej energii w opróżnienie miejsca na ewentualnie coś nowego, co może kiedyś tam zaczniemy tworzyć. Budzenie tej postawy jest zadaniem chwili. Bowiem od dłuższego już czasu coraz bardziej tracimy wiarę w pozytywne strony dnia dzisiejszego. A to, co radosne, dobre, godne pochwały w naszej rzeczywistości, leży i czeka, aż ktoś podejdzie i zauważy. Oby nie czykało za długo! Kto nie wierzy, że można i dziś ufać we własne siły, w narodową mądrość i dojrzałość, niech spróbuje. Uczmy się, czym prędzej uczmy się cenić świat, który nas otacza, dostrzegać prawdziwą wartość tego, czym dysponujemy — odkrywamy wielki skarbiec, przykryty niezbyt grubą warstwą śmieci. Wykorzystujmy więc jego zasoby — również po to, byśmy umieli się śmiać.

* Paweł Wiczorek, Zielone Straszdyło (opowieść przy ognisku), Katowice 1962, s. 71-82.

Polubić firmy polonijne?

Dokończenie ze str. 1

ku masę towarową za 17 mld 650 złotych czyli o ponad 14,5 mld więcej niż rok wcześniej. Czy to dużo? Uczciwa odpowiedź brzmi: nie. Produkcja firm polonijnych jest marginesem. Stanowi zaledwie 0,3 proc. w stosunku do całości dóbr i usług wytworzonych przez gospodarkę społeczną i tylko 3,2 proc. w stosunku do produkcji — uspołecznionej drobnej wytwórczości i rzemiosła. Wydaje się, że dane te obalają mit (podsycany zresztą przez niektóre publikatory), jakoby przedsiębiorstwa polonijne komukolwiek „zagroziły”. Takiej możliwości nie ma, bowiem zgodę na działalność gospodarczą, jej zakres i formy wydają urzędy wojewódzkie, a więc organa, które powinny dobrze wiedzieć, czy produkcja firmy polonijnej jest w województwie potrzebna i komu ewentualnie może zagrażać. Zresztą liczba odmów zdaje się świadczyć, że z rozeznaną i kompetentną urzędami wojewódzkimi korzystają chętnie. Na 374 firmy zarejestrowane odmów udzielono 125 innym (nie ma dokładnej co trzeciej).

Czy jesteśmy Hongkongiem?

W ubiegłym roku firmy skierowały na rynek krajowy 95 procent swojej produkcji. Wyeksportowały za niecałe 10 mln dolarów. Nie jest zatem prawdą, że przedsiębiorstwa owe czerpią z taniej polskiej siły roboczej, jak ze studni bez dna, by następnie tanio zrobiony produkt wysłać za granicę. Kariera Hongkongu nam nie grozi. Przesadny wydaje się także zarzut, iż przedsiębiorstwa prowadzą cwaniacką robotę: kupią tanio polski surowiec, coś tam dodadzą zachodniego i już.

Poproszony o rozwinięcie tematu surowcowego, dyrektor Biura Koordynacji, Promocji i Usług MHZ Stanisław Głogowski powiedział mi, że potrzebna jest w tej materii rozważa, obiektywizm i zimna krew.

— Nie mamy do nikogo pretensji, jeśli zaopatruje się w kraju w surowce dostępne, które nie wymagają szczególnych zabiegów z ich uzyskaniem, uzdatnieniem itd. Byłoby śmieszne, gdyby firmy sprowadzały z zagranicy, na przykład, cement, kredę, drewno, czy owoce i warzywa. Przeczyłoby to nie tylko rentowności, ale i zdrowemu rozsądkowi. Zastrzeżenia pojawiają się, kiedy chodzi o wykorzystywanie surowców deficytowych, takich jak chociażby szkło, tekstas, wełna, bawełna, miedź, mosiądz itp. W przypadkach stwierdzenia uzyskiwania ich „jakimś sposobem” w kraju, firma ponosi konsekwencje dewizowe. Jest to skuteczna „zapora”. Dlatego problem surowcowy wymaga rozważnego spojrzenia. Posługiwanie się tu jakimiś „sztucznymi” liczbami jest wątpliwe... — kończy.

Wydaje się że wypowiedź ta wiele wyjaśnia. Jeżeli zatem mówi się, że firma „X” opiera się w 2/3 na surowcu krajowym, trzeba raczej zapytać: „Jaki to surowiec?”, a nie potępić jej w czambuł. Zresztą w dyskusji „surowcowej” jest sporo nieporozumień. Jeśli Mr. Kowalski wyklada, powiedzmy, 100 tysięcy „zielonych” na interes w kraju ojczystym, to nie z sentymentu głównie, a w nadziei na zysk. I to zysk dewizowy, a nie złotówkowy. Jeśli robi on biżuterię srebrną, ze swojego zachodniego surowca, to chce ją sobie „opłacić” eksportem z Polski,

powiedzmy, kompotów z jabłek, czy suszonych śliwek. Bo akurat srebro w Polsce drogie, a u niego tańsze. Śliwkę zaś odwrotnie. I na takim mechanizmie różnie cenowo-konikturalnych między krajem zamieszkania, a Macierzą zasadza się biznes. I z takiej perspektywy należy patrzeć na problem surowcowy.

kontynenty; przede wszystkim Ameryka Północna (USA, Kanada), ale także Ameryka Południowa (Brazylia, Argentyna), czy Australia. Najwięcej Polonusów-właścicieli mieszka w RFN. W pewnej odległości idą dalej: Anglia, USA, Szwecja, Austria, Francja. Firmy działają w 33 województwach, a pięć dalszych ma filie. Prawdziwymi



Fot. GAF Andrzej Rybczyński

Tym, nad czym można i trzeba dyskutować, są dwie sprawy związane z działalnością firm: jakością oferowanych towarów i ich cena. Zdarzają się przypadki, że pierwsza jest niska, a druga — wysoka. Wtedy krytyka jest uzasadniona, a wnioski powinny być wyciągnięte. Nieporozumieniem byłoby jednak wrzucać do jednego worka wszystkie przedsiębiorstwa i wytwarzać otoczkę sensacji o niejasnych podtekstach politycznych. Znacznie rozsądniej wydaje się traktowanie firm polonijnych tak jak firm polskich. Jednakowo. Bez kokieterii i bez napastliwości. Po prostu rzeczowo. Pamiętajmy, ile szumu i zachwytów serwowały nam publikatory na temat PPZ „Inter-Fragrances”, należącego do inżyniera Soszyńskiego. To najbardziej znana dziś u nas firma polonijna. Prowadząca oczekiwaną przez rynek produkcję, wiedzącą, co to jest marketing, dbająca o pracowników, posiadająca sklepy w wielu miastach, o szerokiej powiązaniach kooperacyjnych (również i na Lubelszczyźnie). Oczywiście i jej zdarzają się niewypały: szampony bez piany, koncentraty soków (z południowych owoców) o podejrzanym konsystencji i smaku. Tylko, że od razu robi się z tego telewizyjną sensację w głównym wydaniu dziennika. Po takim programie można — już tylko — odnieść wrażenie, iż poprzednie informacje o „Inter-Fragrances” były skazane propagandą sukcesu itd.

Statystyka biznesu

Zajmijmy się teraz nieco układem geograficznym polonijnego biznesu w Polsce. Właściciele firm są obywatelami 31 krajów: głównie europejskich. Są jednak reprezentowane pozostałe

warunkami gospodarki socjalistycznej. Czy jest to możliwe? Trudno o odpowiedź jednoznaczną. Można stwierdzić, że przy systemie nakazowym i centralizacji zarządzania gospodarką kraju do 1980 roku — o odpowiednio i bezbolesne „wpasowanie” firm w ekonomiczną rzeczywistość polską było trudno (vide: liczby przedsiębiorstw). Latawiec jest po rozpoczęciu, wdrażania reformy gospodarczej, która odwołuje się — przynajmniej w teorii — do przejrzystych kryteriów ekonomicznych: zysku, samowystarczalności, samofinansowania, autonomii w zarządzaniu etc. Konsekwencją wprowadzenia reformy była ustawa z 6 lipca 1982 roku, przyjęta z takim zainteresowaniem przez polonijny biznes i owocująca przyrostem firm oraz wniosków o ich założenie. Można więc przyjąć, że reforma gospodarcza i jej powodzenie to prosty predyktor losu i powodzenia przedsiębiorstw polonijno-zagranicznych w naszym kraju. Tak samo jak korzystają z „dobrodziejstw” reformy przedsiębiorstwa państwowe (chodzi głównie o margines swobody w stanowieniu cen, a zatem zysków i plac), tak robią to firmy polonijne. Również „niedogodności” reformy (związane z ideą „trudnego” pieniądza, a więc: bliższego przyglądania się efektywności gospodarowania, ograniczania nadmiernych zysków, ładowania zysków w zarobki, a nie np. odnawianie środków produkcji, inwestycje), tak jak będą dotyczyły przedsiębiorstw państwowych, powinny dotyczyć — polonijnych. Obie zainteresowane strony: rząd i biznes polonijny zdają się owe zależności rozumieć i akceptować.

Teraz nieco o praktyce codziennej firm polonijnych. I to bliskiej, bo z naszego lubelskiego podwórka.

Co robią Polonusy na Lubelszczyźnie?

Mamy cztery firmy: „WITESKA”, „FORMA INTERNATIONAL”, „POLNED”, „AGABET”.

Dwie pierwsze działają od ponad roku. „Witeska” zajmuje się montażem wysokiej klasy rowerów wyczynowych, a „Forma International” produkuje filtry powietrza do dużych fiatów i „maluchów”. „Polned” uzyskał koncesję 18 lutego br. i już rozkręca działalność (jest nawet pierwsza produkcja 60 ton jabłek smażonych w cukrze).

O „Agabecie” wiadomo mniej. Właściciel tylko tyle, że zamierza produkować z drewna. Meble, artykuły pamiątkowe. I uwaga(!) — drewniak! Do pełnomocnika firmy nie udało się dotrzeć, ponieważ mieszka w... Sopocie. Właściciel zaś jest obywatelem Berlina Zachodniego. Zajmijmy się zatem działalnością trzech pierwszych, których pełnomocnicy krajowi (jednocześnie dyrektorzy) chętnie przyjęli ofertę spotkania i rozmowy.

Srednie pokolenie mieszkańców Lubelszczyzny pamięta zapewne Jerzego Witeskę, kolarza „Startu”, a potem LZS, ścigającego się po szosach Polski (i nie tylko) w latach 1959-1967. W tym czasie czterokrotnie z rzędu, zdobywał mistrzostwo okręgu; wygrał kilka wyścigów ogólnopolskich. Niestety nie dane mu było wystartować w Impiezie marzeń każdego kolarza — Wyścigu Pokoju. Oprócz talentu do ścigania Witeska miał talent do mechaniki rowerowej i sam przygotowywał swoją „maszynę” do wyścigów. Zajmował się mechaniką również po zakończeniu kariery sportowej.

Kiedy zaczęło się mówić o firmach polonijnych, Witeska pomyślał, że znacznie taniej byłoby montować w kraju wyczynowe rowery, z kupowanych osobno części zachodnich, niż zamawiać gotowe pojazdy. W 1980 roku, po naradzie z bratem — Zdzisławem Witeską, dyrektorem francuskiego przedsiębiorstwa produkującego na potrzeby przemysłu motoryzacyjnego i teletechnicznego, mieszkającym w Paryżu, postanowił sprawę rozkręcać. Wniosek złożył latem 1981 roku, a zgodę otrzymał jesienią. Pierwsze rowery opuściły zakład w listopadzie. Nie da się ukryć, że to produkcja elitarna.

Na czym polega? Polega na zmontowaniu z części — rowerów wycisłowego dopasowanego do indywidualnej sylwetki zawodnika, jego wagi, upodobań itd. Wbrew pozorom to praca żmudna i wymagająca wielkiej precyzji. Jedną z najtrudniejszych czynności jest tzw. planowanie ramy, czyli montowanie na niej łożysk w odpowiednich płaszczyznach. Wymaga to specjalnej aparatury.

Nie ma na świecie firm, które robiłyby przy rowerze wszystko od A do Z. Włoska „Colnago” produkuje znakomite ramy, z których korzysta m.in. kolarze NRD i ZSRR. O podobnym standardzie są ramy angielskiego „Falcona” i belgijskiego „Recorda”.

„potentatami” przemysłowo-polonijnymi są województwa: warszawskie, krakowskie, łódzkie, poznańskie, a dalej — gdańskie, bielsko-bialskie. Lubelszczyzna do niedawna była w tym względzie „białą plamą”. Dziś mamy zarejestrowane cztery firmy; o czym zresztą w dalszej części tekstu...

Przedsiębiorstwa polonijno-zagraniczne zatrudniają 12,2 tysięcy pracowników, z czego 47 procent to kobiety. Średnie zatrudnienie wynosi zatem 33 osoby na firmę, co jest wielkością raczej mylącą. Gros firm ma bowiem po kilkunastu pracowników, a do rzadkości należą kilkusetosobowe (m.in. właśnie „Inter-Fragrances”). Średnie zarobki pracowników, ze względu na różne systemy wynagradzania, trudno dokładnie wycisnąć. Bez większego ryzyka można jednak przyjąć, iż są o 30-40 procent wyższe od średniej krajowej, czyli oscylują w granicach 14-15 tysięcy złotych. Nie widać z powyższych liczb, aby i pod tymi względami polonijny biznes stanowił zarzewie konfliktów społecznych czy nieporozumień.

Precedens przedsiębiorstw polonijno-zagranicznych jest w krajach socjalistycznych novum, wymagającym uważnej obserwacji i badań. Przygotowania do tworzenia podobnych organizacji przemysłowych poczynili Węgrzy. Specyfika ich koncepcji polega na tym, że miejsce działalności firmy mieszanej (z udziałem węgierskim) ma się znajdować w jednym z wyznaczonych regionów kraju, wymagającym aktywizacji gospodarczo-zawodowej. Być może, lepsze to rozwiązanie niż u nas, gdzie koncentracja firm wokół dużych ośrodków miejskich i przemysłowych jest wyraźna. To dygresja — wracamy do rzeczy. Otóż firmy polonijne stanowią próbę skojarzenia organizmów gospodarczych typowo kapitalistycznych z

ZWYCIĘSTWO 1945

Dokończenie ze str. 1

Czy warto wymieniać dalej? Gdy kończyła się ta wojna, świat był wyczerpany do granic wytrzymałości (choć, z drugiej strony, niektóre państwa dorobiły się znacznie w sensie materialnym). Kapitulację Niemiec (a w szerszym znaczeniu — państw osi) świat przyjął z niezwykłym uniesieniem, łzami radości i wielkiej psychicznej i fizycznej ulgi. Pamiętamy utrwalone na taśmach filmowych zbiorowe euforie radości w stolicach, miastach i osiedlach całej Europy, owe płaczące tłumy, wivaty, iluminacje, wracające z tułaczki tłumy, ściskających się żołnierzy.

Ale ten obraz radości szarego, zwykłego człowieka powoli blednie i coraz rzadziej pokazywany jest w telewizorach czy na ekranach kin. W miejsce owych mimowolnych i powierchniowych przekazów — w pracach niektórych historyków i publicystów zaczęły pojawiać się coraz głębsze refleksje. Dotyczą one różnych spraw II wojny: genezy, przebiegu, użytego sprzętu, techniki i strategii wojennej, ale przede wszystkim sprawy najważniejszej — skutków tej wielkiej wojny, bezpośrednich i tych dalszych, wciąż jeszcze przecież ciężących na ludzkość.

Czy i jak obchodzą rocznicę zakończenia II wojny poszczególne mocarstwa i państwa? Otóż jest rzeczą wysoce zastanawiającą, że w gruncie rzeczy rocznicę tę czci na świecie niewiele państw. Nagminnie przemilcza się lub pozoruje uroczystości w Niemieckiej Republice Federalnej i Japonii, w pewnym stopniu w Anglii, a także w wysoce specyficzny sposób w USA. Taka jest prawda.

W historiografii zachodniej poczyna przeważać bardzo dziwna opinia — że II wojna światowa nie zakończyła się zwycięstwem aliantów zachodnich, lecz w istocie ich klęską (nie tyle militarną, co dyplomatyczną). Historiografia ta, a także politologia, dochodzi coraz bardziej do przekonania, że właściwie jedynym pełnym zwycięzcą w tej wojnie był Związek Radziecki. Coraz częściej i brutalniej obwinia się Roosevelta i Churchilla o zaprzepaszczenie szans, o „wpuszczenie Rosjan w głąb Europy”, o przegranie spraw azjatyckich i innych, o nierównomierny „podział łupów” itp. Z rzadka natomiast pisze się o cenie, jaką za swe zwycięstwo Związek Radziecki zapłacił (20 mln zabitych, całkowite zrujnowanie Ukrainy i Białorusi), o nieprawdopodobnym wysiłku ekonomicznym tego kraju, o sile jego narodów i systemu ustrojowego, który wytrzymał tak wiele i tak wiele światu wówczas dał. A przecież o tym dziś trzeba pamiętać.

Budzą się przy tej okazji jednak i inne refleksje. Zaskakuje precedens owego wielkiego i potężnego aliansu Zachodu i ZSRR, sił wobec siebie wrogich, przymierzających zrodzonego w obliczu niebezpieczeństwa zagłady cywilizowanej ludzkości. Wielka koalicja, a więc sojusz wojskowy USA, Anglii i ZSRR, jest zjawiskiem w historii ogromnie ważnym i w istocie bezprecedensowym w takiej skali. Wiele on wyraża, a także, podkreślmy to, tworzy określone nadzieje na przyszłość...

Jednak w publikacjach zachodnich nie brak i w tym względzie zaskakujących opinii. Niektórzy z politologów dostrzegają na przykład, że ten wielki alians, w istocie pozytywny (bo ocalił świat od autentycznego niebezpieczeństwa), w efekcie doprowadził do upadku roli małych i średnich państw w międzynarodowych konfiguracjach i grach wielkich mocarstw.

Czy tak jest? Czy ruch państw neutralnych, system ONZ, paktów itp. mimo wszystko tym państwom nie dają szans? Jak byśmy to oceniali, jedno jest pewne: z tej wojny jako naprawdę zwycięskie wyszły tylko dwa państwa — ZSRR oraz USA. Mimo bowiem szalonych wysiłków Churchilla rozpoczęła się wioda degradacja Anglii; Francja została obciążona zarzutem kolaboracji z faszystami i nikłego wkładu w dzieje pokonania Niemiec; runęła Japonia i jej ambicje; zaczęły się wymykać spod wpływu imperialistycznych Chin i inne państwa Azji (Wietnam, Korea).

Związek Radziecki przeciwnie — wzmocnił w zasadniczy sposób swoją pozycję. Przede wszystkim wyszedł z wojny jako rzeczywisty obrońca świata przed faszystami. Decydujący wkład ZSRR w tę wojnę nie może w istocie być zakwestionowany. Wymierza się go bowiem w liczbach, użytym sprzęcie, strategii działania, ofiarach itp. Autorytet tego państwa na arenie światowej umocnił się, a dyplomacja Stalina do dziś zadziwia świat. Z tej wojny Związek Radziecki wyszedł zwycięsko pod wszelkimi względami. Przede wszystkim wyszedł z osamotnienia i otoczenia. Wokół jego granic europejskich wyrosły kraje demokracji ludowej (w istocie — socjalistyczne), przesunęły się granice państwa, a wpływ ZSRR na sprawy Niemiec stał się decydujący. Związek Radziecki zapewnił sobie reparacje, był współzałożycielem Organizacji Narodów Zjednoczonych, a wiele lat po wojnie, w 1975 roku, uzyskał w Helsinkach potwierdzenie powojennego status quo. Siła oddziaływania ZSRR po II wojnie na ruchy rewolucyjne, narodowo-wyzwoleńcze, antykolonialne itp. znacznie wzrosła i w efekcie doszło do rewolucji lub przeobrażeń o zasadniczym wymiarze w wielu krajach: na Kubie, w Wietnamie, Angoli, Etiopii...

W polskiej opinii publicznej od zakończenia II wojny zadaje się pytanie — co ta wojna Polsce przyniosła, jakie są najważniejsze jej skutki dla nas? Przed laty, gdy rozpisano w naszej prasie ankietę na ten temat, padły bardzo różne wypowiedzi. Jednak fakty niepodważalne. Naród polski ocalał pod względem biologicznym (istniała realna możliwość zagłady), Polska weszła w głąb Europy (granica na Odrze i Nysie), zmierzyła więc swe granice, przyjęła nową orientację międzynarodową (z zachodniej na wschodnią), przekształciła swój ustrój. A Edmund Osmańczyk powiedział wówczas rzecz zadziwiająco słuszną: najważniejszym dla Polaków skutkiem II wojny było ostateczne rozbitcie Prus, będących w historii przyczyną największych nieszczęść Polski.

Dziś w niektórych kręgach naszej opinii publicznej podnosi się jako skutek II wojny sprawę nowych międzynarodowych konfiguracji, mówi się o strefach bezpieczeństwa wielkich mocarstw, o ograniczonych suwerennościach... Są to realia, które nie tylko Polakom przyszło przemyśleć i zrozumieć, a które stanowią również wynik tej wielkiej wojny.

Byłoby oczywiście nonsensem zapominać przy tym o sprawach najważniejszych — że była to wojna z ludobójczym faszystami, w którego planach „naukowo” zakreślony został program zagłady całych narodów, plemion i ras. Wielu historyków mówi wręcz o cudownym ocaleniu ludzkości przed niemiecko-japońskim ludobójstwem. Ale ów cud ma charakter zupełnie przyziemny. Ocalała ludzkość wielka koalicja, ocalała ludzkość niemieckie niepowodzenia na froncie wschodnim.

Ogromną dziś trudność sprawia światu fakt, że była to jedna z nielicznych wojen nie zakończonych traktatem pokojowym. Poczdam tego nie zastąpił, będąc jedynie wielką konsultacją zwycięzców. Mijały lata i wielka koalicja rozpadła się. Tworzące się w niej jeszcze w toku wojny szczytyny (głównie sprawa Polski) powiększyły się w okresie następnym, by doprowadzić do zimnej wojny. Z początkiem lat pięćdziesiątych, na tle sprawy Korei, ta nowa, osobliwa wojna została „podgrzana” — świat zdołał jednak uniknąć konfrontacji, ale sytuacja napięta coraz to powraca, a jej korzeni należy doszukiwać się także w II wojnie.

I w końcu trzeba zapamiętać jeszcze jedno. W trzy miesiące po kapitulacji Niemiec zrzucono atomowe bomby — świat wchodził w nową epokę, ale to wciąż są dzieje tej samej wojny...

Zygmunt Mańkowski

Osprzet (czyli przekładnie, przetrutki, piasty i sztyce), pochodzący z firm „Spidel” (Francja), „Gallidi” (Włochy), czy japońskiej „Shimano”, cieszy się równie wysoką renomą. Z tych właśnie, najwyższej marki, przedsiębiorstw korzysta firma „Witeska”. W 1982 roku wypuściła 70 rowerów, a gdyby mogła zrealizować wszystkie zamówienia, wyprodukowałaby jeszcze więcej. Witeska (obok Włocha Cassanigi, mającego firmę w Warszawie) jest jedynym specjalistą w kraju od tej roboty. O poziomie pracy i jej jakości świadczą liczne podziękowania nadsyłane do firmy; w tym i od Polskiego Związku Kolarskiego, bardzo zainteresowanego w funkcjonowaniu lubelskiej wytwórni.

Wydaje się nie bez znaczenia, że Jerzy Witeska wszystko robi sam. PPZ „Witeska” jest firmą jednoosobową.

O problemach swej działalności gospodarczej Jerzy Witeska mówi chętnie. Przede wszystkim podkreśla, że w UW nie napotykał na przeszkody, utrudnienia. Początkowo nie miał też kłopotów z MHZ. Cała współpraca z Zachodem polegała na tym, że wysiadał w samochód, jechał do Francji i w salonach rowerowych, czy od razu w firmach, zakupował potrzebne do produkcji ramy, osprzet itp. Co mógł zabrać — zabierał. Resztę wysyłał. Oczywiście transakcje musiały być zgłoszone w MHZ i mieć stosowną zgodę na ich dokonanie. Witeska nie korzystał tu z pośrednictwa żadnej centrali handlu zagranicznego, wychodząc ze słusznego założenia, iż sam się zna najlepiej na wyposażeniu kolarskim. Obecnie od 1 stycznia br. obowiązuje przepis o dokonywaniu transakcji firm polonijnych przez nasze centrale. Jest co prawda klauzula zakładająca możliwość samodzielnego handlowania, ale Witeska nie słyszał o takim, który skorzystałby z niej. W tej chwili w porcie przeladunkowym w Staropolu czekają wysłane z zagranicy części do rowerów dla „Legii” Warszawa, ale odebrać ich nie można, bo nie ma zgody MHZ. Ponadto ustalono cło od wwozu tych akcesoriów w wysokości 35(?) procent, co automatycznie o tyle samo podroży koszt roweru i tak przecięt drogiego (150-185 tysięcy złotych).

Jerzy Witeska jest sceptykiem. Uważa, że słuszną skądinąd ideę rozszerzenia inicjatywy gospodarczej Polonusów w kraju, akceptowane i finansowane na najwyższych szczeblach, napotyka opory i trudności w realizacji w środku „drabiny”. Wiele spraw utyka na szczeblu średnim, urzędniczym.

— Nie wyobrażam sobie, abym mógł handlować przez jakąś centralę. To automatycznie podrożyłoby koszty produkcji i oczywiście ceny, a także znakomicie obniżyło operatywność obrotu. Załóżmy na przykład, że zamierzam sprowadzić osprzet „Gallidi”, a brak go akurat Centrala nie kupi mi „Spidela”, bo ma zamówionego „Gallidi”. Ja się o tym dowiem za miesiąc, a kolarzom potrzebne są rowery bo zamówili i zaczął się sezon. Jeśli nie uda mi się sprowadzić samemu, będę musiał przeanalizować celowość prowadzenia tej działalności — mówi Witeska.

Niejako „na wszelki wypadek” Jerzy Witeska podjął z bratem Polonusem decyzję o przejściu innej firmy polonijnej. Dotychczasowy właściciel, obywatel USA, zmarł, a spadkobiercy nie są zainteresowani w jej prowadzeniu. Firma nosi nazwę „Forma International” i znajduje się w Dębówce k. Jastkowa. Produkuje filtry powietrza, artykuły bardzo potrzebne. Jej przyszłość zależy będzie od możliwości sprowadzania bibuły filtracyjnej.

Obecnie Jerzy Witeska liczy na poparcie Polskiego Związku Kolarskiego i PKOI-u, dla swoich starań o samodzielną. Jest jednak realistą i polonijny biznes dostrzega w barwach niekoniecznie różowych.

Firma „Polend” ma inny charakter. Przede wszystkim ma to być rozmach i produkcja masowa.

Właściciel „Polnedu” to Hendrik de Leeuw, obywatel Holandii, posiadający kilkanaście firm branży przetwórstwa owocowo-warzywnego w Beneluxie, handlujący z Polską od wielu lat. Jest znanym dostawcą i odbiorcą.

Kierunków działalności ukształtowała się kilka. Przede wszystkim przetwórstwo. Zachodzi pytanie, czy to nam potrzebne, czy nie mamy własnego? Odpowiedź jest następująca. W Płońsku-Niewidki spółdzielnia produkcyjna zaczęła budować wielki kurnik 2,5 tys. m³. Niestety, budowy nie dokończyła z braku forsy. Stoł i niszczy. „Polned” ma włożyć 17 mln złotych w zakończenie budowy. Oprócz tego zobowiązuje się do opłat dzierżawnych w wysokości 100 tysięcy zł miesięcznie. Po co to „Polnedowi”? Zamierza w kurniku zrobić przetwórnictwo owoców i

warzyw. Po uprzednim wyposażeniu w urządzenia holenderskie wartości ponad 20 tysięcy dolarów. W przetwórni produkowana będą kompoty truskawkowe w puszkach po 5 kg i ogórki konserwowe w puszkach 9-kilogramowych. Produkcja będzie szła na eksport, bowiem tak się składa, że w Polsce nie brak ani truskawek, ani ogórków. W Holandii zaś — brakuje. W zamian sprowadzane będą kompoty ananasowe (opakowanie półkilowe, cena 150 zł) i koncentrat cytrynowy (0,25 l i cena 120 zł). Jedno i drugie po cenach regulowanych (!), a nie — umownych. Zakładany zysk — do 20 procent, przy dopuszczalnym — 30. „Polned” chce stworzyć konkurencję dla innych firm o podobnym profilu, a przede wszystkim dla „Inter-Fragrances”.

Żeby nie korzystać z zawodnej kooperacji, firma uruchomi, na potrzeby wytwórni, zakłady produkcji opakowań z tworzyw sztucznych (zakrętki plastikowe, a przy okazji — sztuczne choinki) i z drewna (skrzynie i tzw. europalety do transportu gotowej produkcji). Jeden w Świdniku, drugi w Sosnowie k. Puław. Zakład ślusarstwa mechanicznego będzie wykonywał urządzenia do pakowania w sposób najbardziej dziś nowoczesny, a mianowicie poprzez obciążanie folią całych palet z konserwami, słojami, butelkami itp. Właściciel „Polnedu” zakupił w tym celu licencję norweską.

Oprócz tego firma uruchomiła już zakład naprawy i konserwacji samochodów „Volkswagen” i pokrewnych (głównie „Audi”) w Lublinie, zajmujący się mechaniką pojazdową, oraz w Maryninie zakład blacharsko-lakierniczy. Finalizowane są rozmowy z koncernem VW nad uruchomieniem pełnego serwisu.

Pełnomocnik firmy Tadeusz Bałachowicz twierdzi, że na koniec 1984 roku „Polned” osiągnie pełną zdolność produkcyjną we wszystkich rodzajach działalności. Ogólna wartość inwestycji dolarowych powinna zamknąć się w 100 tysiącach. Firma zamierza zatrudnić docelowo 120 (obecnie ma zezwolenie na 38) osób. Planowane zarobki pracowników — wg cen bieżących — 18-20 tysięcy złotych, przy pracy akordowej plus ewentualne „trzynastki”, „czternastki” itd. Na stanowiskach kierowniczych kadra po studiach, wyłoniona drogą konkursu. Zarobki od 25 do 35 tysięcy.

— Właściciel firmy, p. de Leeuw, obraca rocznie 250 milionami dolarów. Jest to dobra rekomendacja umiejętności kierowniczych i ekonomicznych. Inwestując u nas, nie nastawia się na zyski maksymalne, a przede wszystkim na wysoką jakość produkcji i dobrą markę. Oprócz tego objął on patronat nad kadrami narodową łyżwiarzy szybkich, których wyposażą w najnowocześniejszy sprzęt w zamian za reklamę „Polnedu”. Podobne zamiary ma wobec piłkarskiej kadry juniorów. Lubelszczyzna została wybrana na teren działania i siedzibę nieprzypadkowo. Jest to region słabo nasycony przez firmy polonijne. To stwarza obopólne szanse — mówi dyrektor Bałachowicz.

Pełnomocnik „Polnedu”, w odróżnieniu od Jerzego Witeski, nie narzeka na współpracę z MHZ. Po prostu właściciel jest postacią tam znaną i ma inne możliwości. Narzeka natomiast na UW, który nie wydał zezwolenia na uruchomienie zakładu wytwarzającego ubiory wełniane i bawełniane. Za truskawki i ogórki sprowadzono by wełnę i bawełnę, a sztyło na miejscu. „Po co panu ten kłopot” — powiedział mu pewien decydent.

Pora na

polubić — nie polubić

1. Wydaje się, że firmy polonijne są nam potrzebne, bo potrzebne jest ożywienie gospodarki kraju, w tym i drobnej wytwórczości, tak łatwo kiedyś „zlikwidowanej”.

2. Nie wydaje się, a w każdym razie nie ma na to dowodów, aby biznes polonijny dzielił z nas bardziej niż biznes i handel oficjalnie państwowy. Stąd i próby wywoływania negatywnych emocji wokół firm polonijnych budują po prostu wątpliwość.

3. Można przypuszczać, iż w miarę, jak „zaskakiwać” będą tryby i trybiki reformy gospodarczej, również polonijny biznes funkcjonować będzie sprawniej i bardziej celowo.

4. To, co wyżej, nie zwalnia oczywiście z patrzenia Polonusom z wypchanymi portfelami — na ręce. Ale nie tylko im.

Waldemar Piasocki

Co u Niemena?

Istvan Grabowski

ZAPOWIEDZ czerwcowych koncertów Czesława Niemena w Lublinie zbulwersowała dawnych jego sympatyków. Trudno się dziwić. Ostatnim publicznym koncertem sławnego pieśniarza i kompozytora był Festiwal Interwizji Sopot '79, gdzie otrzymał trzy cenne nagrody: Grand Prix, Bursztynowego Słowika i jacht Conrad 20 za wykonanie wiersza Jarosława Iwaszkiewicza „Nim przyjdzie wiosna”. Z początkiem 1980 roku ukazała się ostatnia duża płyta Niemena „Postscriptum”, nagrana we własnym studiu metodą wielokrotnego nakładania dźwięków. Później o twórcy „Dziwnego świata” słuch jakby zaginął, przynajmniej dla fanów rocka. To wycofanie się Niemena z czynnej działalności estradowej nie było zaskoczeniem. Pieśniarz wielokrotnie zapowiadał swe odejście, tłumacząc to zmęczeniem i chęcią absolutnego poświęcenia się pracy twórczej. Rzeczywiście pisał później ilustracje muzyczne do filmów i sztuk teatralnych. Jednak wszystkie jego poczynania artystyczne miały charakter eksperymentalny, co znaczy: kontrowersyjny i nie zawsze trafiający w gusta słuchaczy.

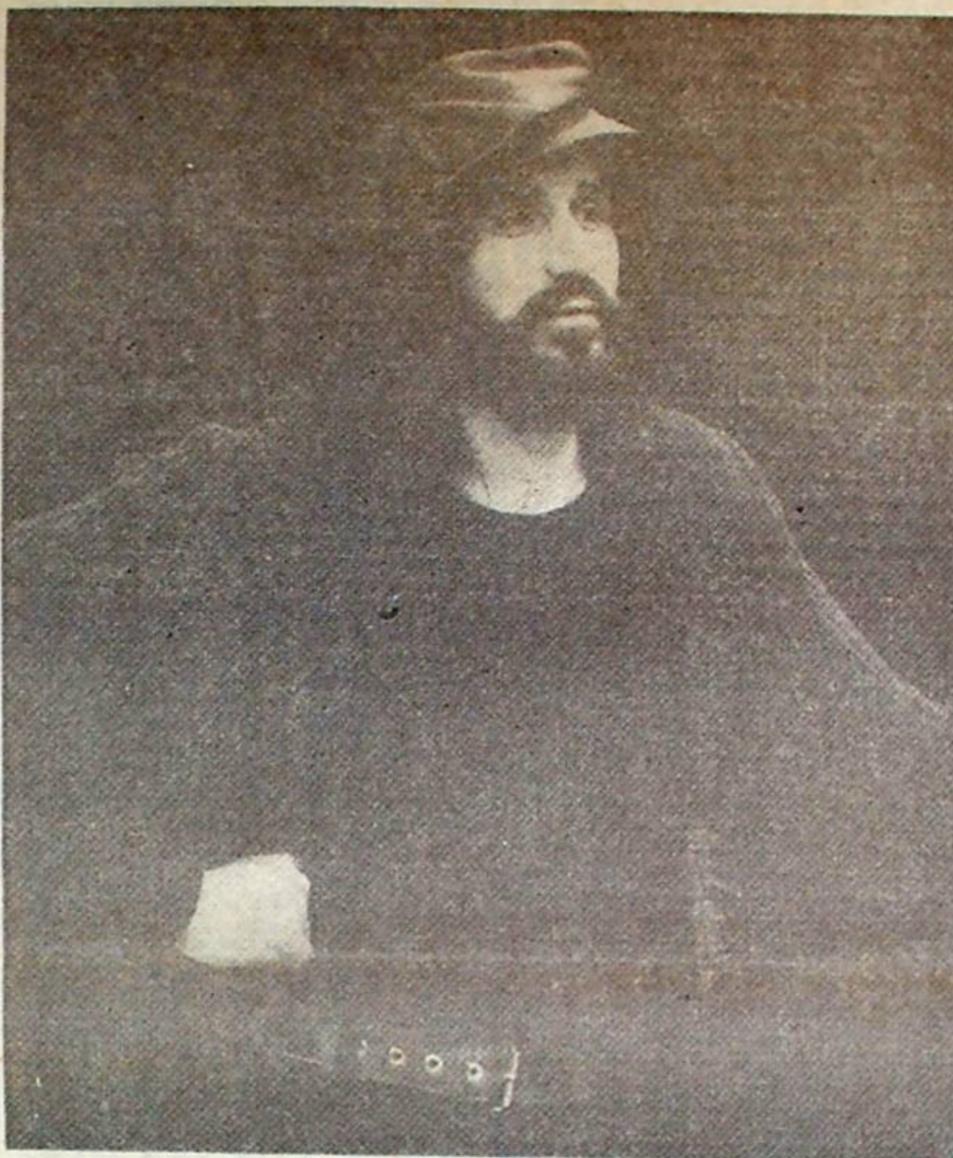
W połowie lat siedemdziesiątych Niemena, cieszący się sławą polskiego wokalisty nr 1, odkrywcy wielu muzycznych talentów, propagatora poezji Norwida i nowatora muzyki rockowej, nabył za granicą niewielki model syntezatora Mooga. To elektroniczne cacko mogłoby otworzyć przed wytrawnym technicznie pianistą ogromne możliwości wydobywania przeróżnych współbrzmień i barw, gdyby Niemien był takim pianistą...

Syntezatorami interesowali się żywo współcześni mistrzowie klawiatury — Keith Emmerson, Rick Wakeman, Vangelis, Isao Tomita i Jean Michael Jarre. Każdy z nich, oprócz wspaniale opanowanej techniki, miał, co warto podkreślić, niebywałą wyobraźnię muzyczną, procentującą kapitalnymi dziełami, jak choćby: „Obrazki z wystawy”, „Sześć żon Henryka VIII”, „Albedo” czy „Tlen”. Natomiast idol naszych nastolatków technikiem był raczej miernym. Wyobraźnią też nie mógł się równać z takimi geniuszami, jak Vangelis czy Tomita. Nic więc dziwnego, że efekty jego syntezatorowych popisów były niezbyt wysokich lotów. Prawdę mówiąc, nigdy nie wyszły one poza granicę muzycznego brudnopisu kompozytora. Były to utwory banalne, mdłe, wręcz nijakie, zważywszy dokonania

zachodnich entuzjastów muzyki elektronicznej.

Płyta „Katharsis”, nagrana po niespodziewanej śmierci bliskiego współpracownika Niemena, perkusisty Piotra Dziemskiego, sygnalizowała ucieczkę twórcy w uliczkę bez wyjścia. Syntezatorowe szumy i piski,

w gąszczu bezładnych dźwięków, które zamiast pobudzić wyobraźnię, nuziły słuchacza. Niespożyty rzekomo talent kompozytorski Niemena okazał się zwietrzałym mitem. Nawet zagorzali sympatycy opuszczali swego Mistrza. Rozumiał to chyba sam idol, bo coraz rzadziej pojawiał się na scenie w towarzystwie własnego zespołu, poświęcając



Fot. Paweł Karpiański

mające w założeniu autora sugerować wędrowkę w przestrzeni kosmicznej, świadczyły wyłącznie o rozpaczliwym braku pomysłów i nikłej znajomości tajników MOOGA. Następny, tym razem podwójny album „Idee fixe” potwierdził tę opinię i rozwiązał już wszelkie wątpliwości. Wychwalany dotąd artysta zwyczajnie zbladził. Zagubił się

gros wolnego czasu na eksperymenty teatralne. Pierwsze jego większe formy dźwiękowe wykorzystał Bernard Ford Hanaoka przy scenicznej realizacji „Snu srebrnego Salomei”, „Mindowe” i „Zabobonnika”. Później teatralną muzyką Niemena zainteresowali się też inni reżyserzy, jak choćby Adam Hanuszkiewicz („Dziady”).

Sława gwiazdy estrady zawiodła Niemena nawet do filmowego atelier. Napisał muzykę do kilku obrazów, z których najbardziej znane były produkcje do filmów reżyserowanych przez Janusza Łaskiego: „Rodzina Lesińskich”, „Klusownik” i „Przygrywka”. Uszłyby one pewnie uwadze fanów, którzy o Niemenie-wokaliście dawno zdążyli zapomnieć, gdyby nie spółka fonograficzna „Rogot”. Otóż niedawno jej nakładem ukazała się duża płyta i kasetka z filmowymi ilustracjami autora „Snu w Warszawie”. Przyznajmy szczerze, iż nie wiem, jaki cel przysięgał wydawcy. Jeśli chodziło o dokładne skompromitowanie kompozytora i pogrzebanie jego sławy, to przedsięwzięcie bliskie jest sukcesowi.

Śmiem twierdzić, iż filmowym dziełom Niemena nie zaszczytują zwolennicy ciekawej muzyki rockowej, bo też są one jakby wyjęte z innej epoki. Izolacja otwartego nógusa na nowinki twórcy w zaciszu domowego laboratorium dźwięków wyszła mu wyraźnie na szkodę. Kompozycje, którymi zamierza on przekonać odbiorców, mogą ich co najwyżej zaryzować. Brzmia archaicznie, gdy porówna się je z wypowiedziami młodych twórców rockowych, i to niekoniecznie zagranicznych. Co by powiedział Niemien ze swą „udziwnioną” muzyką znalazł się dokładnie na antypodach zainteresowań młodego pokolenia. Nie kupi jej zatem nastoletni entuzjasta Perfectu i Republik, ani też dawny, dziś trzydziestokilkuletni, zwolennik wcześniejszej twórczości Czesława. Natomiast starsze pokolenie nigdy nie darzyło go sympatią, uważając za wyjca i dziwaka. Do kogoż zatem adresowali producenci wspomniane wydawnictwa? Ano właśnie, trudno znaleźć odpowiedź na to pytanie.

Czesław Niemien miał kiedyś ogromną szansę zdobycia międzynarodowej sławy. Proponowano mu przecież miejsce w zespole Blood, Sweat and Tears. Stało się jednak inaczej. Splot dziwnych okoliczności sprawił, iż nie przebił się we Francji, ani we Włoszech, ani w RFN, ani też w Stanach Zjednoczonych, gdzie nagrywał z największymi sławami jazzu i rocka. Jednym wydawał się zbyt awangardowy i ekspresyjny, drugim z kolei — manietyczny, tuzinkowy, za mało elastyczny. Zrezygnował z prób podboju zachodniego rynku w nadziei utrzymania sławy, jaką cieszył się w kraju. Tymczasem i ta sypie się powoli w gruzy. Wiadomość o występach Niemena w Lublinie przyjąłem z zainteresowaniem, jakim też ujrzymy go na estradzie. W widowisku poetycko-muzycznym poświęconym twórczości Cypriana Kamila Norwida może ocalić resztki swej legendy. Oby tylko muzyka, jaką zamierza nas uraczyć, nie przypominała klimatem albumu „Idee fixe”, a raczej krążek „Wiersze” z genialnym „Berna pamięci rapso-dem żalobnym”.

Legendy mają jednak to do siebie, że lubią z czasem blednąć. Od momentu realizacji „Rapsodu” minęło 15 lat, wypełnionych zupełnie inną muzyką. Dawny Niemien gra dziś inaczej. Pozostał sentyment za starą płytą, której echa nie da się chyba odtworzyć na scenie, choć może warto spróbować.

STWÓRZMY W LUBLINIE MUZEUM POLSKIEGO PRZEMYSŁU LOTNICZEGO!

BYWA, że poganiani wydarzeniami dnia codziennego, nie dostrzegamy znikania z naszego otoczenia wielu tzw. przedmiotów martwych. Może zresztą nie dla wszystkich są one martwe, bezduszne? „Telewizyjny Kurier Województw” w wydaniu z 18 kwietnia br. (tak na marginesie: wydaniu niejako jubileuszowym, bo przypadającym w rocznicę uruchomienia stałej, lubelskiej pozycji programowej) ukazał lądowanie na świdnickim lotnisku śmigłowca sprzed... 20 lat. To znaczy śmigłowca, który przed 20 laty został wyprodukowany w Wytwórni Sprzętu Komunikacyjnego i teraz do niej powrócił. Tak się złożyło, że przyleciał nim ten sam pilot, który w 1963 roku dokonał „oblatania” owego śmigłowca! Ostatni lot, ostatnie lądowanie i wruszenie pilot wyznał reporterowi, że chociaż to niby nartwa maszyna, ale... jest z nią uczuciowo związany. Przypomina nie tylko jego młodsze lata, lecz i kawałek historii naszego lotnictwa. Lotnictwa lubelskiego.

Ktoś w świdnickiej WSK podjął odważną, a jakże cenną inicjatywę: uratować przed złomowaniem okazowe egzemplarze śmigłowców-weteranów. Dla historii. Niech staną się muzealnymi eksponatami i przypominają początki uruchomienia w Polsce produkcji śmigłowców. Inicjatywa piękna, ale powinna być poszerzona o wcześniejszą historię polskiego przemysłu lotniczego. Przecież to właśnie w Lublinie powstała jeszcze w 1920 roku pierwsza polska fabryka samolotów — Zakłady Mecha-

niczne E. Plage i T. Laśkiewicza! Na Bronowicach, przy ulicy Wrońskiej do dziś zachowały się stare hale i hangary.

Po lubelskiej, niemal równoległe, powstały w 1923 roku dwie następne wytwórnie płatowców — w Poznaniu i Białej Podlaskiej. Mija właśnie 60 lat od tej daty. Nasz region może więc uchodzić za kolebkę narodzin polskiego przemysłu lotniczego. Dlaczego nie potrafimy wydobyć tego z mro-

nie da się zahamować procesu zanikania skrzydeł, ponad 60 letniej historii budowy samolotów w Lublinie?

Chyba jednak pozostało jeszcze wiele pamiątek, fotografii, różnych przedmiotów w niejednym lubelskim domu. Trzeba to wszystko zebrać, zgromadzić w jednym miejscu. Stare samoloty można odtworzyć w postaci modeli. Może powstać piękna ekspozycja muzealna. Tylko gdzie?

Zanikanie skrzydeł

ku zapomnienia? Powrót świdnickiego śmigłowca, ściągnięte go z drugiego końca Polski, jest jakimś krokiem naprzód w tym względzie, ale... jedna jaśkółka wiosny jeszcze nie czyni. Ponadto śmigłowce to ledwo historia ćwierćwiecza, a lata dawniejsze?

Trudno nawet marzyć o odnalezieniu gdzieś jeszcze choćby wraku samolotu z fabryki Plage-Laśkiewicza, czy późniejszej Lubelskiej Wytwórni Samolotów. Nie żyje już wspaniały Paweł Zolotow, odtwórca starych płatowców z epoki „latających etażerek”. Czy jednak wszystko stracone? Czy

W telewizyjnym reportażu wskazano to miejsce: wspomniane hangary dawnego lotniska bronowickiego przy ulicy Wrońskiej. Tam też powinny znaleźć się uratowane przed zniszczeniem świdnickie śmigłowce-weterani. Ekspozycje ich na wolnym powietrzu (z braku odpowiednich pomieszczeń), prędzej czy później grozi zagładą unikalnych już egzemplarzy SM-1 czy SM-2. To ostatni Mohikanie.

A więc hasło rzucone: stwórzmy w Lublinie Muzeum Polskiego Przemysłu Lotniczego!

Ekran i widz

IMPERIUM HOLLYWOOD KONTRATAKUJE

PO FRANCUSKIEJ premierze filmu Irvina Kershnera „Imperium kontratakuje” krytyk Max Tassier napisał w „La Revue du Cinema”: „Kontratakuje nie tylko imperium kosmiczne, także imperium Hollywood, od dawna atakowane, obłożone, ale nigdy nie zdobyte, stosując ostateczną broń koncepcji kina opartego na wielkich pieniądzech i swoistym „imperializmie ekonomicznym”. Ten „imperializm” widzą wszyscy płytki krytycy Hollywood, zamykając jednocześnie oczy na niesłychaną zuchwalność wyobraźni oraz na nieskończenie doskonale opanowanie wszystkich możliwości filmowego języka, które trzeba uznać niezależnie od takich czy innych nastawień „ideologicznych”.

Otóż to. Zamiast liczyć na palcach dziesiątki milionów dolarów, jakie wydano na produkcję „Gwiezdných wojen” George’a Lucasa i „Imperium kontratakuje” Irvina Kershnera (obrazu powstałego wszakże w oparciu o nową filmową tego pierwszego i pod jego kierownictwem produkcyjnym), zastanówmy się lepiej nad fenomenem „Lucasowskich baśni kosmicznych”, które w tak bardzo krótkim czasie zdystansowały wszystkie dotychczasowe doświadczenia i osiągnięcia filmów „przyszłościowych”, wysuwając się na czołową pozycję kina w gatunku science-fiction. Co więcej: w swoisty sposób uprawdopodobniają je to kino.

Film jest snem, jest podobny do sennego marzenia — powiadają jedni krytycy; film jest baśnią, którą przeżywamy na jawie — dodają inni. Tam, gdzie kino odwołuje się tylko do naszego rozumu, do reguł logicznego myślenia, a pozostawia na uboczu sferę doznań zmysłowych, przeżyć pozaracjonalnych, tam staje się ono tylko niewydarzonym bękartem X Muzy. Poczete wszak kłedy zostało legalnie w wzajemnego zafascynowania sobą techniki i fantazji. Filmy braci Lumiere tylko pozornie ograniczały się jedynie do zarejestrowania ruchu na taśmie filmowej. W momencie, kiedy filmowa lokomotywa „wjeżdżała” na widownię, a wśród publiczności podnosiły się okrzyki przerażenia, do tego prostego i prymitywnego kina wkraczał już element fantastyczny. Seans, mający w założeniu pokazać nam najnowszego „cudu techniki”, przekształcał się nienazeknie w rodzaj happeningu. W „fantastycznych” filmikach Georges Mélièsa, ze słynną „Podróżą na Księżyc” na czele, to ścisłe połączenie techniki wprowadzającej „bajeczne” triki filmowe i fantazja stała się już zupełnie widoczne, „czwiste” dla widza i przez niego akceptowane.

Narodziny po wielu latach kina science-fiction nie były żadną nowością ale powrotem do początków sztuki filmowej, do istoty kina. Tylko, że wstąpiono z początku na niezbyt właściwy grunt. Otóż kino „przyszłościowe” zbyt wielką wagę zaczęło przykładać właśnie do owej fikcji naukowej, bardziej pragnęło być „scjencyjne” niż „fikcyjne”, bardziej chciało — dzięki swym możliwościom technicznym, trickowym — uprawdopodobnić przygody swoich bohaterów filmowych, a ich działania i sytuacje, w jakiej popadają, wytłumaczyć w sposób logiczny i naukowy. Filmy z gatunku science-fiction starały się być forpoczta Nauki, chciały już teraz pokazać na ekranie to, co Nauka, opierając się na racjonalnych przesłankach i dotychczasowych doświadczeniach, przepowiadała w dalekiej przyszłości. Ale, ku zdziwieniu producentów, okazało się, że filmy te „nie biorą” publiczności tak bardzo, jak się tego należało spodziewać.

Tylko Stanley Kubrick zrozumiał wcześniej, jakie efekty może dać połączenie techniki z fantazją, naukowości z poezją, wiadomego z niewiadomym. Dlatego jego „Odyseja kosmiczna” jest filmem wielkim i wspólnym, a nie jakimś tam tuzinkowym „przyszłościowcem”.

Podobną drogę co Kubrick obrał George Lucas. Z tym, że jego filmy idą — inaczej niż u filozofującego Kubricka — wyraźnie w stronę baśniowości oraz komiksu. Jest rzeczą zupełnie zaskakującą, co więcej: paradoksalną, że właśnie Lucas dzięki swym „kosmicznym” komiksom wprowadza nas z powrotem w świat dawno — zdawałoby się — utracony przez współczesny racjonalizm i współczesną technikę.

Przebieg kolejne przygody Luke Skywalker’a i księżniczki Lei, dzielnego Hana Solo i upadłego, wysługującego się Imperium, rycerza Jedi czyli złowrobnego Darth’a Vadera — wędrujących po międzygwiazdnych szlakach — to „czysta bajka”. Sytuacje — tworzone na zasadzie tak kosmicznego braku prawdopodobieństwa, że aż „logiczne” i „prawdopodobne”, zmuszające nas do zaakceptowania owej pozornie wariackiej logiki. Do rezygnacji z kierowania się jakimiśkolwiek racjonalnymi przesłankami. W „Imperium kontratakuje” bohaterowie ewoluują na „runakach” będących skrzyżowaniem kangura z baranem, choć mają przecież pod ręką ultrakosmiczne pojazdy. Walczą mieczami o laserowych klingach niezym średniowieczni rycerze, zamiast spalić się tymiż laserowymi promieniami na pył kosmiczny. Żołnierze Imperium przypominają umundurowaniem i charakterem Niemców lub Japończyków z filmów o II wojnie światowej. Han Solo mógłby śmiało występować jako komandos w jakichś „Działach Nawarony”, a Luke Skywalker przypomina do złudzenia w swym „kosmicznym myślowcu” asa lotniczego z brytyjskiej „Bitwy o Anglie”.

I oto staje się cud kina! Wierzymy, wierzymy, nic nam to nie przeszkadza! Oszołomieni fascynującą techniką, nieprawdopodobnymi zdjęciami trickowymi i efektami specjalnymi, porwani surrealistyczną akcją, poezją emanującą z ekranu, jesteśmy znów tymi, których czarowali kiedyś bracia Grimm i Christian Andersen, a potem — Walt Disney. Dzięki Lucasowi i Kershnerowi odnaleźliśmy na dwie godziny nasz czas utracony.

M.D.

KRZYŻÓWKA NR 13

1		2			3		4			5		6	
		7	8							9			
10	11									12		13	
			14	15				16		17			
18						19	20			21			
	22												
23			24			25		26		27	28		
			29					30					
31	32										33	34	35
			36										
37										38			

POZIOMO: 1. laureat Nagrody Nobla, najbardziej znany z dramatu „Czekając na Godota”, 4. publicysta i pisarz zmarły tragicznie, autor „Lun w Bieszczadach”, 7. poeta francuski polskiego pochodzenia, współtwórca francuskiej awangardy, 10. figura w kartach, 11. obniżenie podatku, 14. element omaszowania, w powieściach o piratach zastępował szubienicę, 16. w nim fale radiowe, 18. dźwięk nieboskona, 19. od zmierzchu do świtu, 21. pisarka francuska, autorka „Wiatr smutku”, 22. Samuel Pepys i Jan Chryzostom Pasek, 23. jeleń z łaniami i młodymi, 25. rzeka z historii Wojska Polskiego, 27. na stawie i powieści, 29. na dnie naczynia z płynem, 30. rybi stuszc, 31. pierwszy król żydowski, 32. pieśń operowa, 36. pisarz, patron biegów narciarskich dla dzieci, 37. znak przedłużenia czasu trwania dźwięku, 38. uczulenie.

PIONOWO: 1. pieśniarz wędrowny, 1. powieść Orzeszkowej, 3. architekt z XVII wieku, twórca Pałacu Krasinich, 4. hauser, 5. ofiara Kaina, 6. pisarz czeski, autor baśniowych dramatów, 8. on i ona, 9. przewód płynów i gazów, 11. osoba, do której odczuwasz niechęć, 13. pisarz i dziennikarz lubelski, autor

„Ognistych kół”, 15. mieszkaniec potężnych krain, 17. jednostka organizacyjna lotnictwa, 20. szczyt w Tatrach Zachodnich, 24. los, 25. miasto portowe nad Morzem Czarnym, 26. starożytny kraj ze stolicą Atenami, 28. katolickie koło parafialskie, 31. przełożony, 32. można nań pić, 34. bokserska arena, 35. syn Tuhałaja.

Rozwiązania można nadsyłać pod adresem redakcji (skr. poczt. 211 20-950 Lublin), w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru. Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy bonus książkowy za 500 zł.

Rozwiązanie krzyżówki nr 11
Pozłomę: Jastrun, ballada, rożen, polac, zgaga, Otaf, aria, piernik, Imatra, kometa, koc, lar, Syrokoma, Ewa, Cał, maniok, ondyna, Świnica, apel, nuta, kopra, owies, Tutka, ordynat, atencja, Pionowo: Janozik, traf, Urania, nos bez, anglik, liga, Alkazar, pajac, Artek, przekątna, Przybos, kotlina, morwa, taran, embargo, Antek, Cyrus, tatarak, kwarta, ochwał, lody, neon, aut, Okal.

Nagrodę za prawidłowe rozwiązanie krzyżówki nr 13 wylosował Edward Grygolec ul. Sportowa 1, 17-230 Białobłota.

ARCHIWUM MISTRZÓW ANEĞDOTY

Poeta włoski, Gabriel d'Annunzio spacerując spotkał pewnego rozzębłego chłopca, który jadąc wózkami zaprzężonym w osła, utknął w błocie. Poeta pomógł mu wyostać się na drogę. Wtedy wieśniak rzekł:
— Serdecznie panu dziękuję za pomoc. Z jednym tylko osłem nie dąbłbym sobie rady.

Pewien początkujący poeta spytał raz Bernarda Shawa, co ma uczynić, by jego utwory lotaryły do szerokich mas.
— Confetti z rękopisów — odparł pisarz.

Oryginalną technikę pracy miał Henryk Sienkiewicz. Twórca Trylogii pisał mianowicie tyle, ile potrzeba było na codzienny odcinek w gazecie. Przebywając za granicą w 1886 r. drukował „Potop” w lwowskim dzienniku „Słowo Polskie”. Pewnego dnia redakcja otrzymała następującą depeszę:

— „Telegrafujcie, gdzie jest Kmicie. Zapomniałem i nie mogę dalej pisać. Sienkiewicz”.
Redaktor odtelegrafował:
— „Kmicie w Częstochowie wysadza armatę”.
Praca poszła normalnym tosem...

Wyszywał: Ryszard Dusza

Poczta Literacka

Paweł K. Warszawa. No, no! Powiedziałbym: porwała Pan sobie jakby (czy zauważył Pan, że ten spójnik robi teraz karierę) za wiele! Drukujemy przecież wielu warszawskich autorów na naszych łamach. Podobne uwagi otrzymujemy np. z Białej Podlaskiej, Chełma, Krasnegostawu i Zamostka, ale nasi korespondenci żądają czegoś więcej precyzyjnego, zarczując nam, iż „Kamena” zamieszcza za mało autorów z tamtych obszarów. Jakże więc pogodzić tak przeciwstawne pretensje na tak małej przestrzeni papieru?

Na koniec mała prośba: Mieszka Pan bliżej wybitnych językoznawców i ortografów. Rozstrzygnijcie wreszcie w stolicy, czy rzeczownik, którym Pan się tak szczerze w swoim gniewie posługuje, pisze się przez samo „h”, czy, jak to Pan stosuje, przez „ch”. Autorzy dotychczasowych słowników

ten irracjonalny dylemat pomijają. Nasuwa się też pytanie zupełnie prywatne: czy zapis tego słowa pozostał Panu z niedawnego, jak mniemam, posługiwania się kredą przy wypisywaniu podobnych sentencji na płotach i w ubikacjach?

Karol M. Nowa Ruda. Zainteresował mnie wiersz pt. „Stara Niemka”, jednak na podstawie czterech utworów. Jakże Pan nadeśtał, trudno się zorientować o Pańskich możliwościach. Zachęcam do dalszej korespondencji. Proszę o wyraźne napisane nazwisko, przy ew. publikacji możliwy jest błąd.

Bogusław C. Augustów. Moge powiedzieć jedynie to samo, co przed chwilą Karolowi M., tym bardziej, że chodzi teraz o prozę. Miniatura wskazuje na Pańską dużą wrażliwość, uczuciowość, a równocześnie autokrytycyzm. Ma Pan więcej takich nowelk, albo może nosi je Pan w sobie? Niech je Pan spise i mi przyśle. Zachęcam.

Helena W. Lublin. Myślę, że dobrze Pani wybrała w swej sytuacji. Pisanie dopełnia życie, zastępuje aktywność, o którą, sądząc z listu, może Pani trudno. Nadesłane wiersze, reprezentatywnie zresztą wybrane przez Panią, z ostatnich kilku lat przedstawiają mniej więcej ten sam poziom. Ciekaw jestem utworów najnowszych, pragnę się przekonać, czy w tym pisaniu zaznaczył się jakiś postęp...

TJ

Zalozyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Wasniewski

Redaguje zespół: Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Erymuni Madkowski, Maciej Podgórczyk (sekretarz redakcji), członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Anna Bircina, Mirosław Derecki, Fedeusz Jasiński (kierownik działu literackiego) Ireneusz S. Kamiński (kierownik działu publicystycznego), Henryk Pająk, Waldemar Piascki, Waldemar Stępień (fotoreporter) Redaktor techniczny — Ewa Dydek korektor — Marianna Oblasa.

Redakcja nie wraza materiałów nie zamówionych i szczerze sobie skróty. W sprawach literackich przyjmuje interesantów kierownik działu w piątek w godz. 14-16.

Wydawca: Bohotnicka Spółdzielnia Wydawnicza „Prasa — Książka — Ruch” Lubelskie Wydawnictwo Prasowe w Lublinie, ul. Szosa 1, tel. 23-22.

Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN w Lublinie ul. Świcka 2.

Telefony: sekretariat, redaktor naczelny 23-22, sekretarz redakcji 23-23, dział publicystyki i literacki 23-24.

Korespondencje swykie prosimy kierować pod adresem: 20-950 Lublin 1, skrytka pocztowa 211 polecamy i odpowiadamy — pod adresem redakcji.

ISSN 0013-7169 N7 232888 2231. Adres redakcji: 20-950 Lublin, ul. Szosowa 1, 23-22.

CO JESI W TEJ PIŁCE?



ŁKS: stawanie na nogi

O opuszczeniu Warszawy odczułem wyraźną ulgę, ale znajdowałem się w nie najlepszej formie psychicznej.

Receptę w takich sytuacjach miałem zawsze jednakową: praca. Rzuciłem się w Łodzi na trening, jak głupi. Wówczas jeszcze myślałem, że droga do tego, aby być dobrym bramkarzem, wiedzie przez ciężki, forsujący trening. Przez plucie krwią. Było to oczywiście jedno z moich młodzieńszych, idealistycznych urojeń. Niemniej jednak uczucie zmęczenia dawało pewien spokój psychiczny, a przede wszystkim poczucie dobrze wykonanej pracy. Nie wiedziałem natomiast, że dobrym bramkarzem staje się poprzez dobry trening. Przede wszystkim zaś mądry. Kiedy dziś wspominam to, co wtedy wyprawiałem, dochodzę do smutnego wniosku, że wiele rzeczy robiłem niepotrzebnie, a część z nich była po prostu szkodliwa.

Hubert Kostka, wypowiadał się na koniec sezonu dla katowickiego „Sportu”: Bramkarzy szkolimy w sposób archaiczny. Wciąż szermujemy pojęciami modnym przed 20 laty, że bramkarz powinien być sprawny, gibki, zwinny. To za mało. Spokój, technika gry na pozycji, to się liczy przede wszystkim. Bramkarzy szkolimy w taki sam sposób jak obrońców, napastników, a przecież my gramy rękami, my musimy trenować inaczej... Tak mówił Hubert u schyłku swojej kariery. Wiele w tym prawdy i gorzkości.

Ja tymczasem ćwiczyłem, poznawałem Łódź, nowych kolegów. Staralem się popełniać możliwie mało błędów w kontaktach z ludźmi, a przede wszystkim z kolegami z boiska. W „Legii” — ciężko, bo ciężko — nauczyłem się ostrożności, dystansu, wyrachowania. Tomaszewski przychodzący na Łazienkowską i ten, który ją opuszczał, byli zupełnie innymi ludźmi. Byłem życiowo doroślejszy.

Rozpoczęły się rozgrywki ligowe i okazało się, że idzie mi zupełnie nieźle. Z tego okresu bardzo dobrze zapamiętałem mecz ze szczecińską „Pogonią”, na własnym boisku. Grałimy 8 października 1972 roku. Oczekiwano na ten mecz bardzo, bowiem w poprzedniej kolejce odnieśliśmy sensacyjne zwycięstwo nad „Wisłą” w Krakowie. Zaczęło się od gwizdów, wrzawy i epitetów pod adresem bramkarza gości, Buta, który w poprzednim sezonie bronił właśnie w drużynie ŁKS. Mnie natomiast publiczność przyjęła ciepło. Był to przyjemny moment, zupełnie inny niż powitanie w barwach „Legii”.

Przez pierwszą część meczu przeważaliśmy zdecydowanie, ale bramkarz „Pogoni” bronił znakomicie, ku rozpaczy kibiców. Jego postawa „dowodząca”, iż jest „zdrajcą”, „chamem” i „bydlakiem”. Kibice po każdej udanej interwencji posyłali mu nową porcję gwizdów i obelg, a on po prostu łapał wszystko. Mecz toczył się w bardzo szybkim tempie. W przerwie „plynęli” nie tylko zawodnicy, ale nawet sędziowie, którzy nigdy się przecież tym nie naganają.

Tuż po wznowieniu gry, w 46 minucie, Kasalik, po pięknym rajdzie i podaniu Małeńskiego, strzelił gola. Niestety sędzia p. Słabik bramki nie uznał i na trybunach dosłownie „kipiało”. Uczciwie powiem, że nie wiem, czy została zdobyta prawidłowo, czy nie. Nasz lewy napastnik był ponoć na spalonym.

O losach meczu zdecydowała 60 minuta, kiedy Korzeniowski, grający na prawej obronie, przedrybował trzech graczy „Pogoni” i silnie zacentrował fałszem. Obrońcy przeciwnika byli przekonani, że piłka wyszła, w powietrzu, na aut bramkowy, tymczasem tuż przy słupku dopadł jej Grębosz i głową wcisnął do bramki. Był zupełnie zdezorientowany, a zawodnicy szczecińscy rzucili się w kierunku sędziego, reklamując gola. Tym razem sędzia liniowy uznał, że wszystko było o.k. i główny wskazał na środek boiska. Publiczność oczywiście zaczęła szaleć z radości. But omal nie płakał.

Pozostałe do końca pół godziny zapamiętam do końca życia. Na naszym przedpolu panował istny „kocioł”. Piłkarze szczecińscy raz po raz przedzielali się na pole karne. Zwijaliśmy się jak w ukropie, broniąc w nieprawdopodobnych sytuacjach. Dwa razy byłem sam na sam z Czubakiem, prawoskrzydłowym gości, wychodząc jednak obronną ręką. Jakimś cudem odbiłem potężny strzał Wolskiego. Minimalnie obok słupka strzelał Kasztelan. Na kwadrans przed końcem trener Kowalski zdjął pomocnika Ostalczyka i wprowadził, jako piątego obrońcę, Gutowskiego. Trochę to porawiło sytuację, ale nadal „młyn” trwał. Udawało mi się jakoś wszystko. Wyjścia do długich górnych piłek. Piastkowania przy centrach. Dostawałem przy tym zdrowe szturchańce i kopnięcia, ale jakoś dojechałem do końca z czystym kontem bramkowym.

Po tym meczu prasa sportowa pisała o mnie sporo ciepłych rzeczy. Znalazłem się nawet w jedenastce „Przeгляdu Sportowego”, razem z Korzeniowskim, który rozegrał naprawdę „życiówkę”. Mówię o tym meczu tak wiele, bo był on niewątpliwie w jakiś sposób decydujący dla mojego zaadaptowania się w Łodzi i przyjęcia mnie przez kibiców za „swojego”. Tak się stało. Bez przesady mogę powiedzieć, iż od meczu z „Pogonią” stałem się pupilkiem publikacji ŁKS.

Wiodło się ŁKS-owi dobrze. Po udanym występie łódzkiem pokonaliśmy w Sosnowcu „Zagłębie”, 1 to 4:1. Był to benefis dwóch kolegów: Małeńskiego, którego trzy błyskawiczne rajdy zakończono zostały bramkami (w tym jedną własną), i naszego kapitana — Sada, grającego ostatni mecz w barwach ŁKS. Jurek po wielu latach występów ligowych otrzymał propozycję gry w Holandii, a następnie zgodę PZPN, co było wtedy wydarzeniem dużej miary. Po meczu znieśliśmy Jurka na rękach do szatni, tak jak się to robi wobec wielkich piłkarzy. Bez przesady mogę powiedzieć, iż Jurek był nie tylko znakomitym graczem, ale i kolegą. W moim „raczkowaniu” w ŁKS-ie bardzo mi pomógł i to zapamiętam dobrze. Zresztą jego koleżeństwo odnosiło się nie tylko do mnie; podobnie traktował innych kolegów z drużyny. Miał autorytet u działaczy klubowych. Był lubiany przez kibiców.

ŁKS, zupełnie niedoceniany w przymiarkach przedsezonowych, uważany raczej za dostarczyciela punktów, znajdował się w czubie tabeli, a prasa niezwykle przychylnie o nas pisała.

Z tamtego okresu godny odnotowania wydaje się mecz z zabrzańskim „Górnikiem”, rozegrany przed własną publicznością. Odbił się on krótko po powrocie zabrań z pucharowego występu w Kijowie, meczu z „Dynamem”, którego na pewno nie mogli zaliczyć do udanych. Byłi zapewne podłama-



Rodzina Tomaszewskich na stadionie ŁKS.

Fot.: Cezary Krupa

ni, ale z drugiej znów strony — kibice oczekiwali na ich dobrą grę. Dla mnie mecz był również bardzo ważny. Raz, że miałem możliwość rywalizacji z moim vis à vis — Hubertem Kostką. Dwa, miałem w pamięci lekcję, jakiej udzieliłi górnicy „Śląskowi”, a mnie Włodek Lubański, wygrywając „od niechcenia” 4:0.

Pierwsza połowa należała do nas. Piłkarze z Zabrze byli trochę ociężaלי. Mogliśmy prowadzić przynajmniej 2:0, ale na przeszkodzie stanęli bardzo dobrze usposobieni Kostka i Gorgoń, który skutecznie neutralizował nasze ataki, wchodząc ostro, zdecydowanie i bez specjalnego rozczulania się nad naszymi Kasalikiem, Małeńskim, czy Ostalczykiem.

W drugiej części „Górnik” przypominał sobie i kibicom, co potrafi. Przez kwadrans zabranie nie opuszczali naszego przedpola. W tym czasie egzekwowali bodaj sześć kornerów. Po jednym z nich Włodek Lubański otrzymał piłkę w narożniku pola karnego i uderzył fałszem. Piłka leciała na wysokości półtora metra, tuż przy słupku. Zareagowałem zupełnie odruchowo i strzał obroniłem. W chwilę potem do główki wyskoczył Andrzej Szarmach, ale dosłownie w ostatniej chwili trafił w „skórę” pięścią, nim dotknęła jej głowa „Diabła”. Dwukrotnie, po strzałach Lubańskiego i Banasia, piłka trafiła w słupek. Raz po odbiciu przeze mnie i silnego uderzenia z około 25 metrów Włodek znalazł się w idealnej sytuacji, ale nie trafił do pustej bramki. Po przetrzymaniu naporu, ŁKS ruszył do przodu i gorąco zrobiło się Hubertowi. Niestety, ani świetny tego dnia Kasalik, ani również dobry Korzeniowski nie potrafili zmusić Kostki do kapitulacji. Zresztą cała drużyna dała w tym meczu z siebie wszystko. Po końcowym gwizdku p. Łazowskiego, który zresztą nie miał wiele pracy, bo gra była wyjątkowo fair, kibice bili brawa i nam, i „Górnikowi”.

Po meczu podszedł do mnie Hubert i serdecznie pogratulował. Nie pamiętam dokładnie, ale odpowiedziałem mu wtedy, że mam się od kogo uczyć, co było nadto czytelnym. Wtedy mogłem się w kraju uczyć właściwie tylko od niego. Hubert miał już 32 lata i powoli koczył swoją wielką karierę. Zresztą, gdyby był umiejętnie trenowany, nie miałby tylu kontuzji i pewnie broniliby jeszcze parę lat.

Rundę jesienną zakończyłem zadowolony z siebie i w ogóle gry mojej nowej drużyny. Zadowolony byłem również z pobytu w Łodzi, która mimo opinii miasta brudnego, odpychającego i niezdrowego, była dla mnie — po Warszawie — istną Mekką, Paryżem i Nowym Jorkiem na raz.

W tradycyjnej, przeprowadzanej pod koniec sezonu, klasyfikacji bramkarzy umieszczono moje nazwisko na czwartej pozycji. Pierwszym był oczywiście Hubert Kostka, który zaliczył bardzo dobre występy na Olimpiadzie w Monachium. Tuż za nim uplasował się Marian Szeja, który rok temu był czwarty. Dalej Jan Gomola, drugi

świetny bramkarz „Górnika”. No i ja. Za mną był tym razem Zbyszek Pocialik, poprzednio — trzeci.

Dla kibiców futbolu bardziej interesujących się statystyką chciałbym zaszerwować następującą tabelkę, oddającą układ sił na pozycji bramkarza na przestrzeni 1970—72.

	1970	1971	1972
Kostka (1940)	3	2	1
Gomola (1941)	6	1	3
Pocialik (1945)	4	3	5
Tomaszewski (1948)	5	5	4
Szeja (1941)	—	4	2
Czaja (1944)	2	6	—

Nie jest trudno zauważyć, iż pod poszczególnymi datami umieszczone są miejsca w rocznym bramkarskim rankingu. Kreska (—) oznacza, że zawodnik nie „załapał” się do pierwszej dziesiątki lub nie był klasyfikowany. Widać z tabelki, że na lata, które ona obejmuje, przypadło apogeum formy Huberta Kostki. Jan Gomola, po skoku formy między rokiem 1970 a 1971, przechodził jej obalając Marian Szeja również dochodził swego szczytu formy. Odwrotnie — Piotr Czaja. Natomiast ja i Zbyszek Pocialik utrzymaliśmy się na — mniej więcej — tym samym „umiarkowanym” poziomie. Co z tego zestawienia wynika? Ano, przede wszystkim to, że jest prawidłowość między wiekiem a poziomem umiejętności bramkarskich. Ze do pewnego stopnia sprawdza się porzekadło, iż z bramkarzami to tak, jak z winem. Im starsi, tym lepsi. Ja bym dodał: pod warunkiem, że wiedzą, kiedy odejść.

Moje półrocze łódzkie przyniosło mi także inne wyróżnienie sportowe. W tradycyjnym plebiscycie „Dziennika Łódzkiego” na „10” najlepszych sportowców województwa zająłem... właśnie dziesiątą lokatę. Czulem się niezwykle tym podbudowany, zważywszy, iż znalazłem się w bardzo dobrym towarzystwie. Najlepszym był wówczas Andrzej Bek brązowy medalista olimpijski w tandemie kolarskim. Drugi był również kolarz, Mieczysław Nowicki, znany szosowiec. Trzecie miejsce zajął sprinter Jerzy Czerbniak, biegacz olimpijski sztafety 4×400 metrów. Czwarty, także sprinter i olimpijczyk, Stanisław Wagner. Piąty, torowiec i olimpijczyk, Paweł Kaczorowski. Szóste miejsce — biegacz Kazimierz Maranda. Siódme — bramkarz reprezentacji hokejowej, olimpijczyk Walery Kosyl. Osmo — ulubienica koszykarskiej Łodzi, Bożena Marcinia. Dziewiątą była znakomita siatkarka, reprezentantka kraju, Barbara Niemczyk.

Obecność w takim gronie cieszyła. Przede wszystkim zaś napawała nadzieją, że kiepskie czasy mam za sobą. Kiedy wręczano nagrody wspomnianej „10”, ktoś życzył mi, abym na stałe się w niej zadowolił. Pomyślałem, że nie byłoby to głupie...

(ciąg dalszy nastąpi)

Do druku przygotował:
Waldemar Piasecki

Przedtuzamy do 15 maja br. termin nadsyłania odpowiedzi na konkurs dotyczący kariery piłkarskiej Jana Tomaszewskiego ogłoszony w 9 numerze „Kamery”.

Redakcja